

Albert von Tannenberg

Konrad Sarzyński

Konrad Sarzyński

*Albert von Tannenberg*

czyli zapiski zapomnianego barmana,

który był magiem niepłacącym podatków,

jak również jedyną nadzieją narodu bawarskiego

i kilku zapomnianych wsi

Rybnik 2009-2011

Albert von Tannenberg

Konrad Sarzyński

---

*Jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny*

*Wegecjusz*

*Wojna jest sądem królów; zwycięstwa są jej wyrokami*

*Antoine de Rivarol*

## Spis treści

|                         |    |
|-------------------------|----|
| WSTĘP .....             | 4  |
| KSIĘGA PIERWSZA .....   | 6  |
| ROZDZIAŁ PIERWSZY ..... | 7  |
| ROZDZIAŁ DRUGI .....    | 8  |
| ROZDZIAŁ TRZECI .....   | 14 |
| ROZDZIAŁ CZWARTY .....  | 18 |
| ROZDZIAŁ PIĄTY .....    | 25 |
| KSIĘGA DRUGA .....      | 33 |
| ROZDZIAŁ PIERWSZY ..... | 34 |
| ROZDZIAŁ DRUGI .....    | 39 |
| ROZDZIAŁ TRZECI .....   | 41 |
| KSIĘGA TRZECIA .....    | 42 |
| ROZDZIAŁ PIERWSZY ..... | 43 |
| ROZDZIAŁ DRUGI .....    | 45 |
| ROZDZIAŁ TRZECI .....   | 51 |
| ROZDZIAŁ CZWARTY .....  | 52 |
| EPILOG .....            | 53 |

## WSTĘP

Podróżny jadący z Pleitmannswang do Kottgeisering będzie miał mnóstwo okazji do przetestowania swojej wyobraźni. Piękne miasta, wspaniałe zamki, ogromne pałace – wszystko to zmieściłoby się bez problemu na całych hektarach marnych pól i ziemi niczyjej. Nie miałbym nic przeciwko temu. Przynajmniej byłoby na co popatrzeć. Jednak nie pora na narzekania, bo oto zbliża się kolejna grupa podróżnych. Odkąd otworzyłem na tym pustkowiu karczmę, są oni jedyną rozrywką. Zacząłem ich nawet klasyfikować (kupcy, inkwizytorzy...) i prowadzić statystyki odwiedzin. Jak na razie prowadzili szaleńcy.

Weszli. Wszyscy nosili długie, czarne płaszcze, a pod nimi starannie wypolerowane płytowe zbroje. Broni mieli więcej, niż można znaleźć w niejednym arsenale. Kolejna drużyna pierścienia. Teren pomiędzy dwiema zapomnianymi wioskami, w zapomnianym królestwie, wydawał się być ostatnim miejscem, w którym opłacałoby się zbudować karczmę. Jednak odkąd zaczęły się tu regularnie pojawiać kolejne wyprawy coraz to większych dziwaków, grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Dowiedziałem się o tym od mojego przyjaciela, także maga, Marwalda von Bergsteina. Podobnie jak cała reszta, nie miał zbyt wiele szczęścia w czasie ostatniej wojny Bawarsko – Polskiej. Nie ma się co dziwić – nasza armia została rozbita w puch kilka miesięcy wcześniej przez Brandenburgię. Ocalić zdołał się tylko jeden pułk kawalerii i kilkunastu magów. Polacy jak zwykle wykorzystali sytuację i podstępnie nas zaatakowali, jednak nie wiedzieli o naszym sojuszu z Austrią. Jedyne, co musieliśmy zrobić, to wytrzymać do momentu przybycia posiłków. Niestety, rzucono na nas niemal wszystkie siły i to zadanie trochę nas przerosło. Tak bardzo trochę, że zostałem ostatnim magiem z Królewskiej Gwardii. Całkowicie wyczerpany udałem się w jedyne miejsce, jakie przyszło mi do głowy – na zapomniane pustkowie, pomiędzy dwiema zapomnianymi wioskami, w zapomniana...

- PIWA, DOBRODZIEJU! - ryknął najwyższy z przybyłych.

- Służę, jaśnie panie – odpowiedziałem rutynowo. Cały czas to samo. Piwo, plotki, złoto, niby-tajny-list z niby-tajnymi-instrukcjami, spory napiwek i pospiesznie opuszczona karczma... - Podać coś jeszcze, wielmożny panie? - spytałem, kłaniając się tak przesadnie, że nosem szorowałem po ladzie.

- Plotki, dobrodzieju. Tylko jak najświeższe!

- Król (oby żył wiecznie i zniósł podatki) zaczął sobie szukać małżonki, uznając najwidoczniej, że trzy niedziele żałoby wystarczą tej starej jędzy, która robiła mu awantury o każdą nałożnicę.

- I słusznie, jak ja bym miał żyć z taką babą, to bym chodził w żałobie od samego ślubu.

- Ha, i byś w noc poślubną walił głową w mur? - odezwał się jeden z przybyszów, niski i chudy, z chytrym uśmieszkiem nieschodzącym z ust od momentu wejścia do karczmy – Ja takich okazji nie przepuszczam. A jak jęzda, to bym zakneblował i po sprawie! - krzyknął wśród śmiechu pozostałych wędrowców.

- Ty byś się ożenił nawet z owcą, tylko jak na razie żadna cię nie chce – zgasił go mój rozmówca. Po chwili głośniego rechotu zwrócił się znowu do mnie – A wiesz może, dobrodzieju, czy nie potrzebują gdzieś takiej doborowej kompanii, jak nasza?

To pytanie pojawiało się zawsze. Nie znam nikogo, komu zależałoby na usługach takich dziwaków i jeszcze niedawno wyśmiałbym przybysza. Jednak pewnego dnia, niedługo po otwarciu mojej karczmy, odwiedził mnie tajemniczy jegomość, proponując dziwną umowę. Reprezentował Gildię, która była chyba jakąś mistyczną sektą i zajmowała się, jak sam to ujął, „kompleksową obsługą poszukiwaczy przygód”. W ramach tej obsługi nawiązywali kontakty z przedstawicielami

niemal wszystkich profesji, powierzając im pewne zadania. W moim przypadku sprowadzało się to do zapoznania się z listą zleceń, które miałem dawać dziwnym przybyszom, którzy zaczęli się pojawiać już kilka godzin po wizycie sekciarza. Od każdej grupki dostawałem 17 karolinów, co sprawiło, że Gildia szybko stała się moim głównym źródłem dochodów. Mając to na względzie, przybrałem poważny wyraz twarzy i odparłem:

- Jest pewna delikatna sprawa, tylko... - tu nerwowo zlustrowałem wnętrze karczmy, po czym ściszyłem głos – nie wiem, czy mogę wam, zacny panie, zaufać...

- Niech mnie śnieg spali, jeśli w promieniu stu staj jest człek porządniejszy ode mnie, Karla von Kalksteina. - wykrzyknął oburzony moimi wątpliwościami, zwracając tym uwagę swoich towarzyszy, którzy rozeszli się już po karczmie i leniwie sączyli piwo. - Mówże, o co chodzi, bo mojej kompanii doskwiera piekielna nuda!

- Otóż w stolicy naszego Wielkiego Królestwa, Monachium, mieszka pewna hrabina, miłośniczka Albrechta Altdorfera. Zgromadziła w swoim pałacyku sporą kolekcję jego obrazów, z czego każdy jest wart fortunę. Widać skusiło to łotrzyków, którym udało się ukraść jej ukochany Pejzaż okolic Ratyzbony. Teraz, pogrążona w rozpacz, szuka bohaterów zdolnych odzyskać obraz, w zamian za 100 karolinów.

- Choć niebezpieczeństwo spore, bo byle łajdak tak cennej rzeczy nie kradnie, to i nagroda wielka – zadumał się Karl von Kalkstein, po czym odwrócił się do swoich kompanów i zawołał – no, panowie, mamy robotę. Pewna nadobna niewiasta straciła jakiś bohomaz i daje górę karolinów za jego odnalezienie. Idziemy?

- Idziemy! - odpowiedzieli mu chórem.

- Zatem żegnaj, dobrodzieju! Niech ci Bóg w dzieciach wynagrodzi, że nam powiedziałeś o hrabinie. Bywaj! - ostatnie słowo rzucił, stojąc już w drzwiach. Pozostali szybko dopili piwo i ruszyli za swoim hersztem ratować z opresji hrabinę, która zapewne nawet nie istniała. Jak Wielkie Królestwo Bawarii kocham, wariaci!

# KSIEGA PIERWSZA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiosna to najpiękniejsza pora roku. Otwieram wtedy wszystkie okna, by do wnętrza gospody dotarło choć trochę świeżego, pachnącego kwiatami i lasem powietrza. Właśnie otwierałem ostatnią okiennicę, gdy dostrzegłem w oddali dwóch jeźdźców. Niewątpliwą zaletą karczmy na odludziu było to, że każdy podróżny zatrzymywał się w niej na chwilę, aby po kilkugodzinnej jeździe przez pustkowia choć przez chwilę móc z kimś porozmawiać.

Oparłem się więc o parapet i zacząłem obserwować zbliżających się powoli klientów. Gdy znaleźli się nieco bliżej, zamarłem z przerażenia. Złociste kamizelki. Znałem je aż za dobrze: pikowane, ze złotymi guzikami w kształcie karolinów. Kamizelki poborców podatkowych...

W każdym mieście pracowało przynajmniej kilku poborców podatkowych, nie mieli więc powodu, aby wybierać się w tak długą i męczącą podróż przez pustkowia. Chyba, że mieli odebrać zaległe podatki od pewnego karczmarza, któremu do tej pory udawało się unikać tej wątpliwej przyjemności, jaką jest wrzucanie ciężko zarobionych karolinów do królewskiego skarbca.

Przyjrzałem się uważniej podróżnym, szukając broni, jednak nic nie znalazłem. Miałem więc do czynienia z doborowym oddziałem egzekucyjnym, w skład którego wchodził tylko najlepiej wyszkoleni magowie. Byli oni wysyłani w miejsca, gdzie mogło być niebezpiecznie lub gdzie do zapłaty poddany potrzebował dodatkowej zachęty w postaci kilku złamanych żeber i płonącego dobytku. A ja, jak na złość się nie wyspałem...

Nie było jednak czasu na uzalenie się nad sobą, gdyż oto z gracją zeskoczyło tuż obok mnie z wierzchowców dwóch mężczyzn. Jeden był w podeszłym wieku, a resztki jego włosów niemal całkowicie zbiały. Próbując zrekompensować sobie łysinę, która wyżyła mu włosy na wzór tonsury, wyhodował sobie spektakularne wąsy, zakrywające prawie pół twarzy. Drugi z poborców był dużo młodszy, gładko ogolony i z długimi włosami związanymi z tyłu rzemieniem. Trzymał się na uboczu, oddając staremu inicjatywę.

Wąsacz badawczo mi się przyjrzał i po chwili, widząc zadowolony ze swej błyskotliwości, rzekł – Albert von Tannenberg, jak mniemam?

Zaprosiłem ich do środka i poczęstowałem piwem, myśląc gorączkowo, jak mógłbym ocalić swoje życie. I złoto. Po kilku minutach ciszy odezwał się właściciel imponującego zarostu. Z zachowania jasno wynikało, że to on dowodzi tym dwuosobowym oddziałem.

- Nie powiem, ładną okolicę sobie wybrał wielmożny pan na prowadzenie karczmy. Czy aby jednak nie brakuje klientów? Niech mnie święty Mateusz kopnie, jeśli widział po drodze choć jedną chałupę...

- Racja – odpowiedziałem ostrożnie, szukając w każdym słowie jakiegoś podstępu. - Choć ziemia tu żyzna, chłopów ani śladu. Szlachty też tu szanowni panowie nie uświadcza, bo arystokracja woli bawić się w miastach, niż na wsi.

- W takim razie nieco was podratujemy. Dajcie nam piwa i jadła – rzekł poborca, dając znak swemu towarzyszowi, aby usiadł z nim przy stole. Szybko nalałem do kufli piwa i magicznie podgrzałem polewkę. Gdy wszystko stanęło przed poborcami na tacy, w milczeniu zabrali się za jedzenie. Po chwili po raz pierwszy odezwał się młody urzędnik.

- Arcysmaczna polewka, a i piwo wyśmienite. Aż zbyt wyśmienite, jak na podupadającą karczmę na odludziu – dodał z błyskiem w oku.

- Zatem interes jakoś się kręci – rzucił stary, rozglądając się dookoła. Brzmiało to bardziej jak oskarżenie, niż pytanie, postanowiłem więc milczeć. - Nie dostaliśmy jednak od waszmości ani jednego karolina w ostatnich czasach. Czyżbyście zapomnieli o obowiązku płacenia podatków?

Końcówka zabrzmiała groźnie. Nadszedł czas na wyjaśnienie sobie kilku spraw.

- Panowie, ale ja wam nie zapłacę ani grosza... - zacząłem spokojnie. W karczmie zapanowała przytłaczająca, niebezpieczna cisza. Mlasknięcie łyżki odkładanej przez wásacza zabrzmiało jak salwa armatnia. Było też sygnałem do ataku.

Gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia, zapewne nie wstaliby z rozmachem, przewracając przy tym krzesła. Prawdopodobnie też nie zakasali by rękawów i nie próbowali rzucić na mnie zaklęcia paraliżującego. Bardzo możliwe, że kilka chwil później w ich oczach nie zobaczyłbym przerażenia, gdy w ostatnim momencie zdążyli zasłonić się przed potężnym uderzeniem, które wysłałem w ich stronę. Podejrzewam również, że nie przyszłoby im do głowy, by chwilę później z całej siły uderzyć o ścianę i zostać zmiażdżonym przez jeden ze stołów. Ale to tylko moje przypuszczenia...

Obojętnie jednak, czego by nie zrobili, miałem teraz poważne kłopoty. Właśnie sprawiłem, że Król (oby żył wiecznie i zniósł podatki) od przyszłego miesiąca zaoszczędzi na pensjach dla poborców podatków. A nasz Król (oby żył wiecznie i zniósł podatki) nie lubi oszczędzać.

Nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Na pewno nie mogłem zostać w karczmie. To byłoby jak wdrapanie się na czubek samotnego drzewa w czasie burzy. Trzeba było zniknąć... Cóż za ironia, że muszę uciekać z zapomnianej karczmy, pomiędzy dwoma zapomnianymi wsiami, żeby o mnie zapomniano... Nie mogę się pojawić w żadnym mieście w Wielkim Królestwie Bawarii, gdyż ktoś mógłby we mnie rozpoznać maga z Królewskiej Gwardii sprzed kilku lat. Pozostawała więc ucieczka. Tylko dokąd się udać? Wszyscy znajomi, jakich miałem zginęli. Zresztą nawet gdyby żyli, to i tak żaden z nich nie mieszka poza granicami Królestwa.

Wtem przypomniałem sobie o Gildii. Ich przedstawiciel mówił, że sekta ma swoją siedzibę w Londynie, który był poza zasięgiem Króla (oby żył wiecznie i zniósł podatki). Pozostaje mieć tylko nadzieję, że ktoś tam mówi po bawarsku.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wśród mieszkańców Londynu dało się wyczuć ogromne przygnębienie. Wydawało się, że serce imperium brytyjskiego wciąż nie otrząsnęło się po awanturze w Ameryce. Nic jednak dziwnego – na wypadek, gdyby utrata Trzynastu Stanów nie była dla Londyńczyków dostatecznym utrapieniem, król Wielkiego Królestwa Polskiego postanowił sprzedać Stanom Luizjanę, której to stał się właścicielem w momencie podbicia Francji. Tym sposobem rebelianci podwoili rozmiar swojego państwa, a do Polski wyruszyły cztery statki załadowane po brzegi złotem. Złotem, które posłuży Władysławowi V Zdobywcy do podbicia kolejnych ziem, co może doprowadzić do niebezpiecznej sytuacji, w której wszystkie europejskie państwa razem wzięte nie będą w stanie przeciwstawić się potędze Lechitów.

Tą ponurą wizję miał wymalowaną na twarzy każdy człowiek w Londynie, od lordów po żebraków. Sprawiało to, że miasto było mrocznym i nieprzyjemnym miejscem. Choć gdzie indziej równie łatwo można było znaleźć zawszoną prostytutkę lub natknąć się na rabusiów w wąskiej uliczce, tutaj wszystko to bardziej rzucało się w oczy, pozbawione maskującej codzienne troski uprzejmości handlarzy i beztroskiego przepychu arystokracji.

W czasie podróży statkiem, kapitan polecił mi zgłosić się do Nathana Rothschilda, który miał być uprzejmym, mieszkającym od niedawna w Londynie młodzieńcem. Kapitan przedstawił go jako swojego bliskiego przyjaciela i zapewniał, że chętnie pomoże takiemu zacnemu człowiekowi, jak ja.



Dlatego też, zaraz po przyjeździe do Londynu, pojechałem pod wskazany przez kapitana adres.

Nathan mieszkał w wysokiej kamienicy w centrum miasta. Przeprowadził się z Manchesteru, gdzie handlował wyrobami włókienniczymi. Planował, idąc w ślady starszego brata, założyć bank. Aby to zrobić, musiał jednak zgromadzić jeszcze trochę kapitału, co zamierzał uczynić inwestując w kolejną wyprawę Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Chociaż znał mnie niecałą godzinę, rozmawiał ze mną jak z członkiem rodziny. Nie przybyłem jednak do Londynu, aby rozmawiać o życiu młodego finansisty, lecz aby zacząć nowe życie. Nadszedł więc moment na zmianę tematu:

- Dlaczego wszyscy w mieście są tacy ponurzy? - zapytałem.

- Ach, to fascynująca sprawa! - Nathan aż się zachłysnął z radości, że poruszyłem ten temat

- Pamiętasz, drogi Albercie, sprawę trzynastu kolonii w Ameryce?

Otworzyłem już usta, żeby odpowiedzieć, ale Nathan nie czekał na odpowiedź.

- Och, musisz pamiętać! Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie, ale ty miałeś to szczęście obserwować wszystko na bieżąco! Otóż cała ta awantura strasznie wzburzyła Jerzego III, który notabene nie należy do najspokojniejszych ludzi w Anglii. Ponoć to właśnie od tamtej chwili stał się bardziej ponury i miewa coraz częstsze napady choroby...

- Ale to było w czasach mojej młodości. Tymczasem prości ludzie nie martwią się utratą zamorskich krain dłużej niż tydzień - udało mi się wykorzystać moment, w którym młody Rothschild nabierał powietrza.

- Racja. Święta racja! Nie dalej jednak niż dwa miesiące temu Stany znów zadrwiły z biednego Jerzego. Otóż Wielkie Królestwo Polski zajęło Francję, całkowicie ją zaskakując atakiem od strony morza. Tym sposobem Władysław V stał się właścicielem wszystkich francuskich włości, w tym sporych terenów w Ameryce. Postanowił je sprzedać rebeliantom, co rozjuszyło Jerzego do tego stopnia, że nie wychodzi ze swoich prywatnych komnat już od ponad miesiąca. Zaniechał nawet swoich ulubionych wycieczek na wieś. Choć politycy lekceważą wszelkie wieści płynące z Ameryki i skupiają się głównie na Indiach, Jerzy dobrze wie, że oto rebelianci stali się jednym z największych państw świata, a Polska zyskała ogromne ilości złota, które niemal na pewno przeznaczy na ekspansję terytorialną.

Czułem się coraz bardziej zmęczony, postanowiłem więc przejść do najważniejszej sprawy.

- Słyszałeś może o Gildii? Podobno ma tutaj swoją siedzibę.

- Och! - Nathan, o ile to możliwe, jeszcze bardziej się podniecił. - Ile plotek o niej słyszałem! Ile wspaniałych historii!

- Dobrze, ale czy znasz kogoś, kto mógłby mnie zaprowadzić do ich siedziby? - przerwałem mu, zanim na dobre się rozgadał.

- Każde dziecko zna drogę. Mają cudowny pałac. Poczekał chwilę... - podszedł do sekretarzyka i szybko coś napisał na skrawku papieru. - Tutaj masz adres. To niedaleko stąd, ale lepiej weź powóz, żeby się nie zgubić.

Gildię miałem zamiar odwiedzić dopiero jutro, podziękowałem więc za radę i pożegnałem się. Rozmowa z młodym Rothschildem była niemal tak samo męcząca, jak podróż do Londynu. Na szczęście nie wywoływała choroby morskiej.

\*\*\*

Następnego dnia stała się rzecz niezwykła. Nad Londynem zaświeciło słońce. Podobno ostatni raz miało to miejsce w roku 1666, choć niektórzy twierdzą, że był to po prostu pożar.

Korzystając z tak niezwykłej pogody, wybrałem się pieszo do hotelu, pytając kilkakrotnie o drogę. Okazało się, że wbrew moim obawom, wciąż jeszcze umiem mówić po angielsku.

Po niecałej godzinie dotarłem pod wskazany adres. Siedziba Gildii wyglądała niezwykle. Tuż

za bramą zaczynał się potężny ogród utrzymany w raczej nietypowym stylu. Poprzecinany mnóstwem ścieżek, biegnących wzdłuż strumyków, był potężnym labiryntem, pełnym krzewów przyciętych w fantazyjne kształty i rzeźb tak wiernie imitujących dzikie zwierzęta, że wydawały się być skamieniałymi przybyszami z odległych lasów i stepów.

Dalej, tuż przed budynkiem, w miejscu gdzie zbiegały się wszystkie dróżki, znajdował się duży plac z piękną mozaiką, przedstawiającą jeźdźca na czarnym rumaku. Z wyższych pięter ten widok musiał zapierać dech w piersiach.

Nad tym wszystkim królował wspaniały pałac, bogato zdobiony płaskorzeźbami i misternymi witrażami. Jednak to nie zdobienia, lecz wysokość zwracała uwagę. Budynek pięł się wysoko w górę, rzucając rankiem cień na cały ogród. Szeroki na kilkaset metrów i wysoki na dziewięć pięter, zdawał się być większy od niejednego pasma górskiego.

Masywne, bogato zdobione dębowe drzwi prowadziły do ogromnego hallu, oświetlonego kilkoma potężnymi żyrandolami. Posadzka była wyłożona kremowym marmurem, a ściany i kolumny – jasno czerwonym z białymi żyłami. Po lewej stronie wzdłuż całej ściany ciągnęła się lada z ciemnego drewna, za którą stało kilkunastu elegancko ubranych mężczyzn. Prawą stronę niemal całkowicie zdominowała tajemnicza maszyna, z mnóstwem kół zębatych, zaworów, linek i łańcuchów. Wydawała jednostajny, głęboki pomruk, przerywany czasem głośnym sykiem, co nadawało jej demonicznego charakteru.

Po chwili przewyciężyłem chęć dokładnego przyjrzenia się maszynie i podszedłem do jednego z ludzi stojących za ladą.

- Witam wielmożnego pana w siedzibie Gildii. Jaki numer życzy sobie otrzymać łaskawca? - wyrzucił z siebie rutynową formułkę.

- Numer? - zapytałem nieco zdezorientowany.

- Ach, wielmożny pan zapewne pierwszy raz... - młodzieniec szybko się zreflektował. - Proszę się niczego nie obawiać, wszystko wielmożnemu panu wytłumaczę. Otóż aby usprawnić obsługę naszych szanownych gości, Wielki Mistrz wprowadził system numeryczny. Każda sprawa, z jaką przychodzi do nas wielmożny pan, została przydzielona odpowiedniemu wydziałowi. Każdy wydział z kolei otrzymał literę, poczynawszy od A i skończywszy na H. Czy jak na razie wielmożny pan rozumie?

- Tak, ale nie rozumiem, dlaczego mi pan to mówi. - odpowiedziałem nieco skonsternowany.

- Ależ proszę się nic nie martwić, już przechodzę do meritum sprawy! - uspokoił mnie młody portier, barwnie przy tym gestykulując. - Raczy wielmożny pan spojrzeć na ścianę za mną. Jeśli, dajmy na to, chciałby wielmożny pan wstąpić do naszej Gildii, wystarczy poszukać, przy jakiej literze wypisana jest „rekrutacja”. Spójrzmy... - teatralnie odwrócił się w poszukiwaniu odpowiedniej litery – Jest! C! Zatem podchodzi wielmożny pan do mnie (lub do kogoś innego, jeśli ja wielmożnemu panu nie odpowiadam) i prosi o numer C, a my wydajemy wielmożnemu panu okrągłą płytkę z literą i numerem.

Portier wykonał sekwencję dziwnych ruchów, przypominających bójkę z bandą niewidzialnych rzezimieszków, po czym w jego ręce pojawiła się moneta z dużą literą C i numerem 14237.

- Teraz wystarczy, że wielmożny pan spojrzy na tablicę tuż nad maszyną kolejnościową i poczeka, aż pojawi się tam numer wybity na płytce. Wtedy należy udać się do wskazanego biura, gdzie wielmożny pan zostanie obsłużony.

- Dobrze, zatem poproszę... - przyjrzałem się wszystkim wydziałom i po chwili znalazłem właściwy, oznaczony literą G („azyl, pomoc zbrojna, zabójstwa, inne”). - Poproszę G.

- Co tylko wielmożny pan rozkaże – młodzieniec znów wykonał dziki taniec i w jego ręce

pojawiła się kolejna moneta, nieco większa, z wybitym „G 7284”. - Życzę miłego dnia i zapraszam do naszego bufetu, znajdującego się w rogu hallu.

Nie zastanawiając się wiele usiadłem naprzeciwko potężnej maszyny kolejnościowej. Przede mną było jeszcze kilkanaście numerów, mogłem więc z fascynacją obserwować jej pracę.

Zbudowana była z tysięcy cienkich rurek, biegnących chaotycznie wokół wielkich kół zębatach i przekładni. Jej centralnym punktem była ogromna czarna tablica oraz dwa mechaniczne ramiona. Jedno ramię było zakończone mokrą szmatą, drugie dużym kawałkiem kredy. Co jakiś czas, rynną biegnącą wzdłuż schodów, staczała się płytka. Wpadała do wnętrza maszyny i to właśnie wtedy rozlegał się przeciągły syk.

Chwilę później do życia budziło się ramię z kawałkiem materiału i ścierało numer zapisany pod którąś z liter. Po chwili ramię z kredą wpisywało nowy numer, którego posiadacz wstawał z ławki i ruszał schodami w górę.

Co kilka minut z pomieszczenia za maszyną wychodził stary, gruby mężczyzna z drabiną i wiadrem. Rozstawiał drabinę przy tablicy, wdrapywał się na nią i z trudem przyciągał do siebie oba ramiona. Najpierw sięgał po szmatę i moczył ją przez chwilę w wiadrze wypełnionym wodą, a następnie wyciągał z kieszeni mosiężną suwmiarkę i dokładnie mierzył długość pozostałej kredy. Zużywała się bardzo wolno, dlatego też za każdym razem ukontentowany schodził po trzeszczących z wysiłku szczeblach, brał drabinę i wracał do swojej kryjówki.

Gdy wyszedł kolejny raz, wstałem i ruszyłem w jego stronę, aby spytać się, skąd maszyna wie, który numer uległ zmianie. Niestety nie dane mi było się tego dowiedzieć, gdyż w tym momencie rozległ się syk, a na tablicy ramię wypisało mój numer. Rozdrażniony ruszyłem w stronę schodów, zastanawiając się ciągle, na czym polega tajemnica maszyny kolejnościowej.

Na pierwszym piętrze zorientowałem się, że każdy z wydziałów zajmuje jeden poziom, zatem czekała mnie długa wędrówka niemal na sam szczyt pałacu.

\*\*\*

Tuż przy schodach na każdym piętrze, niczym forteca na górskiej przełęczy, ustawione było nieduże biurko. Na wzór średniowiecznych baszt, po bokach stały dwie wysokie sterty dokumentów, a w samym sercu budowli, w miejscu przeznaczonym dla smoka lub innej gadziny, siedział na wysokim krześle karzeł w wełnianym swetrze z wyhaftowaną ogromną literą swojego wydziału. Siódme piętro należało do czarnobrewej karlicy ubranej na żółto z fioletowym „G” naszytym na rękawach i całej przedniej części swetra.

Gdy tylko zobaczyła, że zbliżam się do jej biurka, wyciągnęła jedną kartkę z prawego stosu i zamoczyła pióro w bohato zdobionym inkauscie.

- Godność waszmości? - spytała wysokim, skrzekliwym głosem.

- Albert von Tannenberg.

- Numer?

- G 7284.

Spisała wszystko na małym kawałku papieru, do którego przytroczony był srebrny łańcuszek.

Raczy założyć na szanowną szyję i przejść do komnaty 714, trzecie wejście po lewej – powiedziała urzędniczka, nie podnosząc wzroku.

Drzwi były lekko uchylone. Delikatnie je pchnąłem i wszedłem do środka. Moim oczom ukazało się przestronne pomieszczenie z wysokimi oknami. Wszystkie ściany były szczelnie obudowane półkami z książkami i regałami zastawionymi przyborami do pisania. Po obu stronach wejścia stały dwa biurka, przy których dwoje młodych ludzi pilnie coś notowało na długich zwojach

pergaminu.

Głębiej stał potężny dębowy stół, zajmujący niemal połowę komnaty. Siedział przy nim sędziwy mężczyzna, patrzący w zadumie przez jedno z okien na panoramę Londynu. Ciszę mąciło jedynie skrzypienie piór dwóch skrybów.

- Ekhm – chrząknąłem teatralnie.

- Och, witaj młodzieńcze! - staruszek wydawał się mieć znacznie lepszy słuch, niż wzrok. - Wybacz, ale cię wcześniej nie zauważyłem. Zatem powiedz mi, w czym ci mogę pomóc.

Pokrótce opowiedziałem swoją historię, kreując się na ofiarę okrutnego systemu podatkowego, tłamszącego małych i średnich przedsiębiorców w Królestwie Bawarii, po czym niemal ze łzami w oczach poprosiłem o pomoc. Leciwy urzędnik podrapał się po tysej głowie, chrząknął kilka razy, po czym rzekł w zadumie:

- Sprawa jest bardzo poważna. W tak niebezpiecznych czasach nie możemy ryzykować pogorszenia stosunków z Królestwem Bawarii. Musisz się zwrócić bezpośrednio do Wielkiego Mistrza, Arnulfa Fitzwaltera. Zaraz dam ci odpowiednią przepustkę – zawiesił głos czekając, aż jeden z jego pomocników poda mu wykaligrafowany dokument gotowy do podpisu. - która upoważni cię do wejścia na najwyższe piętro. Wielki Mistrz powinien cię niebawem przyjąć.

- Dziękuję – odpowiedziałem, sięgając po podpisaną z rozmachem przepustkę. Schowałem ją do wewnętrznej kieszeni kamizelki, po czym wyszedłem na korytarz.

Gdy byłem już przy schodach, zdałem sobie sprawę, że nie wiem, gdzie dokładnie urzęduje Wielki Mistrz. Podeszedłem do pogrążonej w biurokratycznym transie karlicy i zapytałem:

- Przepraszam, gdzie mogę znaleźć Wielkiego Mistrza?

- Przepustkę ma? - zapytała, nie podnosząc wzroku.

- Ma.

- Na pewno? - kolejne automatycznie zadane pytanie.

- Tak, na pewno – odpowiedziałem nieco zirytowany, wyciągając dokument z kieszeni.

- W takim razie pójdzie na ostatnie piętro, potem korytarzem w prawo i pokaże ją strażnikowi. - ciągle nie odrywała wzroku od książki wypełnionej kolumnami liczb, leżącej przed nią na biurku – I nie zapomni wrzucić płytki do rynny w poręczy! Rynny w poręczy? Wzdłuż schodów ciągnęła się solidna, mosiężna poręcz, z gałązkami bluszczu misternie wyrytymi na całej długości. Zakończona była dużą gałką z podłużnym nacięciem pośrodku i wykaligrafowanym „Insert coin” powyżej. Zatem to w ten sposób płytki dostają się do maszyny kolejnościowej...

Wyciągnąłem swoją z kieszeni i wrzuciłem do środka. Przez chwilę numer toczył się z charakterystycznym metalicznym dźwiękiem. Następnie, sądząc po szybko oddalającym się dźwięku, spadł na sam dół i potoczył się powoli w stronę maszyny na parterze. Po chwili nasłuchiwania ruszyłem schodami w górę. Dwa piętra wyżej rozstrzygną się moje losy.

\*\*\*

- Zatem chcesz, abym ryzykował w najlepszym razie wściekłość rodaków za nadwyżę nasze stosunków dyplomatycznych, a w najgorszym sprowadził na nasz kraj wojnę? I to wszystko w imię walki z wyzyskiem poborców podatkowych?

- Dokładnie tak, Wielki Mistrzu.

Arnulf Fitzwalter wolno krążył po swojej ogromnej komnacie na ostatnim piętrze pałacu Gildii. Choć był młodszy ode mnie, jego poorana zmarszczkami twarz zdradzała ogromne zmęczenie. Chodził przygarbiony, lekko kulejąc. Nosił bogato zdobioną szatę, która swoim rozmiarem zdradzała, że jeszcze niedawno Wielki Mistrz był znacznie lepiej zbudowany. Wszystko wskazywało na to, że jest chory.

- Widzisz Albercie, ostatnio nie czuję się najlepiej. Choć lekarz próbuje mnie uspokajać, dobrze wiem, że nie pozostało mi zbyt wiele czasu. Teraz, gdy poznałem twoją historię, przyszedł mi do głowy pewien pomysł – Arnulf podszedł do stolika i nalał sobie z kryształowej karafki jakiegoś ciemnofioletowego trunku. Wypił powoli kilka łyków, po czym kontynuował. - Po śmierci Wielkiego Mistrza członkowie Gildii wybierają jego następcę w głosowaniu. Najwięcej mamy młodych członków, z równie wielkimi ambicjami, co małą wiedzą. Jest, bardzo prawdopodobne, że to właśnie jeden z nich zostanie wybrany, dzięki poparciu swoich rówieśników. Odnoszę wrażenie, że nasze pokolenie jest ostatnim zdolnym do wielkich czynów. Tamtym tylko pieniądze w głowie! - skrzywił się z niesmakiem.

- Zgadzam się Wielki Mistrzu, jednak nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek ze mną i z martwymi poborcami podatkowymi... - wtrąciłem się, czując, że w powietrzu wisi rozległa i ciekawa, ale zupełnie nie związana z tematem historia.

- Otóż ma bardzo duży! Wraz z naszą śmiercią skończy się na świecie pewna era. Era magii i odwagi. Rodzi się coraz mniej magów, którzy są coraz słabsi. Moc się rozmywa z pokolenia na pokolenie. Jest jednak jeszcze nadzieja, dopóki żyją ludzie tacy jak ja czy... Czy ty.

- Nadzieja? Na co? - zapytałem, wciąż nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza Wielki Mistrz.

- Sprawa jest skomplikowana, gdyż w wielu kwestiach usta zamyka mi przysięga, którą złożyłem przed uzyskaniem dostępu do Tajnej Biblioteki. Mogę jedynie powiedzieć, że w grę wchodzi przyszłość naszej cywilizacji i to właśnie od mojego następcy będą zależały jej losy.

- Wybacz Wielki Mistrzu, ale to zabrzmiało nieco....

- Patetycznie? - Arnulf usiadł po drugiej stronie stołu i badawczo na mnie spojrzał. - Wiem, że dla wielu to niewyobrażalne, że jeden człowiek może mieć tak wielki wpływ na życie całych narodów, ale tak jest. I obawiam się, że ta świadomość przerośnie większość kandydatów na moje miejsce.

- Zatem chcesz, żebym kandydował? - ten pomysł wydał mi się tak szalony, że nie mogłem stłumić chichotu.

- Nie. Chcę, żebyś wygrał. Jeżeli ktoś ma uratować ten świat, to ja. A ty jesteś do mnie najbardziej podobny ze wszystkich członków Gildii.

- A demokracja? Nie przekonam do siebie ludzi, którzy mnie nawet nie znają...

- Chrzanić demokrację! - Arnulf wrzasnął, uderzając pięścią w stół. - Nie dostrzegasz tego? To wszystko jest iluzją. Od początku rządziły ludźmi jednostki. Tak było, jest i będzie. Demokracja to tylko maskuje, daje plebsowi poczucie ważności. Jeśli tylko czujesz się dostatecznie silny, by przyjąć na swoje barki ten ciężar, zrobię wszystko, byś wygrał. Wpływów i znajomości mi nie brakuje, gorzej z godnym następcą. - Wielki Mistrz potężnym haustem tajemniczego purpurowego napoju dał znać, że zakończył swoją przemowę.

- Jak mogę się zgodzić, jeśli nawet nie wiem, komu lub czemu będę musiał stawić czoła? - zapytałem bezzadnie.

- Będziesz musiał całkowicie poświęcić się sprawie, więcej ci nie mogę powiedzieć. - Widząc moje niezdecydowanie zmrużył oczy, po czym dodał – Jeśli się zgodzisz, twój król uzna, że podwójne morderstwo było nieszczęśliwym wypadkiem. Jeśli nie, najpóźniej za miesiąc będziesz wisiał.

- W takim razie zgadzam się. - odparłem bez zastanowienia. Bądź co bądź lepiej zostać bohaterem, niż wisielcem. Chyba.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Arnulf przedstawił mnie jako ważnego emisariusza z odległej Bawarii, bezlitośnie wykorzystując chaos informacyjny panujący w Gildii. Już po kilku dniach wszyscy widzieli we mnie bliskiego współpracownika Wielkiego Mistrza i nikt nawet nie śmiał spytać o moją przeszłość.

Pośpiech był jak najbardziej uzasadniony, gdyż Arnulf czuł się coraz gorzej. Niemal całkowicie stracił apetyt i osłabł do tego stopnia, że niemal nie wychodził ze swojej sypialni. Lekarze bezradnie rozkładali ręce, gdyż żadna z ich wyszukanych kuracji nie zadziałała. Dwa tygodnie później Arnulf Fitzwalter zmarł.

Zgodnie z przewidywaniami swoją kandydaturę zgłosił Tom Jones. Teraz jednak, gdy zyskałem dzięki Arnulfowi sławę i szacunek, przypominało to bardziej starcie Dawida z Goliatem. Młody i niedoświadczony przeciw potężnemu i mądrymu. Nawet najwięksi zwolennicy Toma zdawali się wahać, czy w imię pokoleniowego braterstwa można postępować wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wyniki wyborów mówiły same za siebie: Albert von Tannenberg – 1763, Tom Jones – 37.

\*\*\*

Następnego dnia odbyło się uroczyste zaprzysiężenie. Wszyscy członkowie Gildii aktualnie przebywający w Londynie zgromadzili się w ogromnej sali na ostatnim piętrze. Miała szklany dach, co wyglądało imponująco, jednak skutkowało oślepieniem sporej części gości, gdy tylko słońce przedarło się przez niezbyt gęste tego dnia chmury.

Na środku sali stał duży, okrągły stół, przy którym zostało ustawionych osiem ciężkich, dębowych krzeseł z wysokim oparciem oraz jedno obite czerwonym aksamitem. To tutaj zasiadała Rada wraz z Wielkim Mistrzem i podejmowała decyzje w kluczowych dla Gildii sprawach.

Z trudem przeciskałem się przez tłum, otoczony dumnie wyprostowanymi członkami Rady. Gdy wreszcie udało nam się dotrzeć do stołu, śmiechy i rozmowy ucichły, zastąpione przez pełne wyczekiwania szept. Szczupły i wysoki mężczyzna, pełniący rolę Starszego Rady zdawał się napawać tą chwilą. Odczekał dobrych kilka minut nim zaczął przemawiać.

Spotykamy się, aby oficjalnie mianować czcigodnego Alberta von Tannenberg nowym Wielkim Mistrzem. - powiedział gromkim głosem. - Proszę teraz wszystkich o powstanie, przystępujemy do zaprzysiężenia.

Garstka ludzi, którym udało się zająć miejsca na krzesłach stojących wzdłuż ścian powstała. Pozostali jeszcze ciaśniej otoczyli stół. Przytłoczony setkami par bacznie obserwujących mnie oczu, podniosłem się powoli i skinąłem lekko głową w stronę Starszego Rady, aby kontynuować.

- Czy ty, Albercie von Tannenberg, przysięgasz na wszystkich bogów, w których wierzysz, a także na swój honor, że dołożysz wszelkich starań w dążeniu do osiągnięcia dobrobytu przez wszystkich członków Gildii, będziesz służył naszemu królowi Jerzemu III oraz weźmiesz odpowiedzialność za całą naszą cywilizację? - wyrecytował w patetycznym stylu w całkowitej ciszy, jaka teraz panowała w komnacie.

- Przysięgam – odpowiedziałem.

Starszy Rady rozpromienił się i zawołał:

- Zatem ucztę czas zacząć!

Trudno opisać chaos, jaki wybuch po tych słowach. Do komnaty weszło kilkunastu służących

ze stołami uginającymi się pod ciężarem wymyślnych potraw, szczerze przyprawianych egzotycznymi ziołami i rzadkimi roślinami. Wszyscy zebrani jak jeden mąż rzucili się w stronę poczęstunku, popychając się, złorzecząc i przeskakując tych, którzy nie zdołali utrzymać się na nogach.

Starszy Rady złapał mnie mocno za ramię i poprowadził w stronę drzwi w rogu sali. Za nimi znajdowało się małe pomieszczenie z kamiennym kominkiem i przysadzistymi fotelami ustawionymi przy małym stoliku. W rogu stał barek wyposażony we wszystkie dostępne w Londynie marki i gatunki alkoholu.

- Nie mieliśmy jeszcze okazji ze sobą porozmawiać – powiedział, nalewając wódki do dwóch sporych kieliszków – Jestem Wasonofij Gołubiew, Starszy Rady.

- To wielki zaszczyt móc cię poznać, wielmożny Gołubiewie – odpowiedziałem całkiem szczerze, gdyż świętej pamięci Arnulf twierdził, że jest to człowiek obdarzony ogromną inteligencją.

- Mów mi Warsonofij. W końcu będąc Wielkim Mistrzem jesteś panem wszystkich, prócz króla... - powiedział z lekkim uśmiechem – Jak ci się podobala ceremonia?

- Prawdę mówiąc, spodziewałem się długich i nudnych przemówień oraz kilkugodzinnego rytuału. Tymczasem okazało się, że jesteś oszczędny w słowach i łaskawy dla pustych żołądków gości, którzy zapewne od kilku dni pościli, aby móc spróbować wszystkich potraw.

- Tak, to chyba dwie najbardziej pożądane cechy u każdego gospodarza i mistrza ceremonii – Warsonofij ze śmiechem podał mi kieliszek, po czym jednym haustem opróżnił swój. Ja ograniczyłem się do ostrożnego i niezbyt dużego łyka, na co Starszy Rady zmarszczył brwi i wyjął z niesmakiem usta. Udając jednak, że nie dostrzega mojego uprzedzenia do wódki, zmienił zgrabnie temat.

- Widzisz Albercie, teraz, gdy ceremonia już się skończyła i oficjalnie jesteś Wielkim Mistrzem, możemy porozmawiać o kilku ważnych sprawach. Musisz jak najszybciej zapoznać się z prywatnym księgozbiorem, do którego dostęp mają tylko Wielcy Mistrzowie. Nie mam pojęcia, co tam jest, wiem jednak, że bez tego możesz mieć problemy z podejmowaniem właściwych decyzji.

- Ale przeczytanie wszystkich ksiąg zajmie mi pewnie kilka lat! - wykrzyknąłem przerażony wizją ślęczenia nad tysiącami opasłych tomów w całkowitej samotności.

- Właśnie dlatego istnieje Rada. - Warsonofij nalał sobie kolejny kieliszek i od razu go opróżnił. - W czasie gdy Wielki Mistrz jest zajęty lub odbywa daleką podróż, to my podejmujemy za niego decyzje w codziennych sprawach. - widząc jednak mój niepokój, dodał – Nie musisz też czytać wszystkich ksiąg i notatek. Najważniejsze będą zapiski Arnulfa z ostatnich kilku miesięcy. O ile cokolwiek zapisywał... Warto też byłoby przejrzeć traktaty o wiedzy tajemnej przeznaczonej tylko dla Wielkich Mistrzów.

- Spodziewał się nieco bardziej spektakularnych obowiązków...

- Wszystko w swoim czasie, Albercie, wszystko w swoim czasie – rzekł Warsonofij z uśmiechem. - A teraz nie chcę cię popędzać, ale najwyższa pora, byś stał się prawdziwym Wielkim Mistrzem i posiadał najcenniejszą rzecz, jaką skrywają twoje prywatne komnaty – wiedzę.

Trudno było się z nim nie zgodzić. Tym bardziej, że byłem niezwykle ciekawy, jakie tajemnice skrywa mój nowy gabinet. Tyle, że ominię mnie ta wspaniała uczta... Nie martw się, służący przyniosą do twoich komnat wszystko, czego zapragniesz, a kucharze są do twojej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. - Warsonofij Gołubiew czytał w moich myślach. Teraz nic nie stało na przeszkodzie, abym dogłębnie poznał sekrety Tajnej Biblioteki.

\*\*\*

Prywatne komnaty Wielkiego Mistrza zajmowały niemal całe ostatnie piętro i były



labiryntem saloników, krętych korytarzy i skrytek. Przy wejściu znajdowała się Sala Audiencji, gdzie Wielki Mistrz przyjmował najważniejszych gości. Na drugim końcu, w najdalszym zakątku kompleksu znajdowała się sypialnia z potężnym łóżem oraz przylegająca do niej Tajna Biblioteka. Były to pomieszczenia, do których nie miał wstępu nikt ze służby, a przy wejściu dzień i noc pełnili służbę dwaj potężnie zbudowani wartownicy. W pobliżu znajdowała się też łaźnia z mozaiką przedstawiającą dziesiątki skrzętnie coś notujących urzędników, siedzących za biurkami ustawionymi w równe rzędy.

We wszystkich komnatach stały przysadziste meble z hebanu, a obrazy przepychu dopełniały arraszy przedstawiające magów i rycerzy w czasie wielkich potyczek. Tworzyło to ciężką atmosferę, w której nie było miejsca na beztroskę czy wesołość.

Po zwiedzeniu wszystkich komnat, które udało mi się odkryć, poszedłem do biblioteki i zacząłem przeglądać księgozbiór. Któryś z moich poprzedników musiał być wielkim smakoszem, gdyż niemal cały regał zastawiony był księgami pełnymi przepisów i porad spisanych przez najlepszych europejskich kuchmistrzów. Znalazłem też opasły tom napisany przez Arnulfa. „Efemeryczna depalatalizacja u egzarchów italskich w VII wieku” głosiły dumnie złote litery na grzbiecie i przedniej okładce. Postanowiłem jednak, że dzieło mojego poprzednika będzie musiało ustąpić miejsca wskazówkom, jak uratować świat.

W końcu dotarłem do regału, na którym stała skrupulatnie spisana historia Gildii. Pierwsze zapiski pochodziły z 1258 roku, czyli z czasów legendarnego założyciela Gildii, Jerantou d'Epais. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i pogрузyłem w lekturze.

Zapiski te mogą czytać tylko Wielcy Mistrzowie, a wszystko, co w nich zawarte, musi pozostać absolutną tajemnicą, którą znać będzie tylko Bóg i Wielki Mistrz.

Rzecz działa się wiosną roku Pańskiego 1258, w czasie wściekłego parlamentu i burzy, jaką wywołał Szymon z Montfort. Nie były to łatwe czasy dla Jego Wysokości Króla Anglii, Pana Irlandii i Księcia Akwitanii, Henryka III. Zarzucano mu rozrzutność i chore ambicje, co pewnie szybko rozeszłoby się po kościołach, gdyby do antykrólewskiego stronnictwa nie przyłączył się wspomniany przeze mnie earl Leicester.

Pewnego wieczoru w jednej z karczm spotkałem się z moim przyjacielem, arcybiskupem Canterbury, Bonifacym z Sabaudii. Był niezwykle zdenerwowany, co początkowo tłumaczyłem sobie napiętymi stosunkami pomiędzy Jego Królewską Mością Henrykiem III, a Tajną Radą, która go kontrolowała na mocy prowizji oksfordzkich i której członkiem był Bonifacy. Szybko jednak się okazało, że powód jego wzburzenia jest dużo, dużo poważniejszy. Nasza rozmowa będzie prawdopodobnie bardzo istotna w przyszłości, dlatego też zachowałem jej wierną kopię w Wielkim Archiwizatorze, który podarował nam Stwórca wraz z naszą siedzibą i całą wiedzą, jaką dysponujemy. Aby uzyskać dostęp do tego wspomnienia należy za pomocą dźwigni ustawić ciąg znaków „1258-05-23”.

Następne strony, zalane czymś zapewne wiele lat temu, były niemal całkowicie nieczytelne. Kilukrotnie powtarzały się tam słowa „Stwórca” i „TAM”, jednak nie dało się odczytać nic więcej.



Dopiero kilkadziesiąt stron dalej pojawił się dłuższy fragment czytelnego tekstu, dotyczył jednak wspaniałego gulaszu, jakim Wielki Mistrz Jerantou d'Epais został poczęstowany w czasie swojej podróży po Francji.

Rozejrzałem się po bibliotece w poszukiwaniu wspomnianego przez Jerantou Wielkiego Archiwizatora. W końcu mój wzrok zatrzymał się na stercie rupieci stojącej w rogu. Po chwili pojąłem, że to, co uznałem za akwarium stojące na porąbanym biurku jest w rzeczywistości misternie skonstruowaną maszyną.

Na blacie wykonanym z czarnego kamienia stała duża, szklana kula. Po prawej stronie znajdowało się jedenaście dźwigni, a pod każdą z nich przykręcono niewielkie, mosiężne tabliczki z wyrzniętymi cyframi od 0 do 9 oraz myślnikiem. Po drugiej stronie był duży, wyrzeźbiony z białego marmuru przycisk z wygrawerowanym „power” na środku oraz kilka mniejszych dźwigni opatrzonych stosownymi podpisami na tabliczkach.

Zaintrygowany wcisnąłem biały przycisk. Rozległo się ciche mruczenie, a szklana kula wypełniła się roztaczającym niebieską poświatę dymem. Po chwili dym zaczął się dzielić na małe kłębki, które przybrały kształt liter i ułożyły się w zdanie: „Wybierz nazwę wspomnienia, a następnie pociągnij dźwignię <<play>>”. Gdy tylko wykonałem polecenie, dym znów przybrał bezkształtną postać, a następnie zaczął wirować, zmieniając co chwilę kolor. Po chwili maszyna wydała z siebie przeciągły pisk, a w kuli pojawił się wyraźny obraz przedstawiający oberżę widzianą oczami jednego z gości.

W lokalu było tłoczno i gwarно, dlatego też Jerantou, którego oczyma widziałem całą scenę, siedział skulony przy niewielkim, okrągłym stolczku, na którym z trudem mieściły się dwa kufle piwa. Po drugiej stronie krzesło zajmował starszy mężczyzna w szatach arcybiskupa i z grubymi złotymi pierścieniami na palcach.

- Miałem... Miałem wizję. - powiedział arcybiskup Bonifacy łamiącym się głosem.

- Zatem Bóg cię wybrał i do ciebie przemówił – rzekł po chwili ciszy Jerantou.

- Bóg nie istnieje! - odpowiedział podniesionym głosem Bonifacy, a oczy zapłonęły mu gniewem. - Zresztą ta wizja nie była religijna...

Mężczyźni zamilkli, obserwując swoje kufle i wsłuchując się w gwar dochodzący z sąsiednich stolików. Siedzieli przy nich przedstawiciele mieszczaństwa i arystokracji, porzucający podziały klasowe dla zaspokojenia ciekawości i plotkowania o wszystkim, co tylko im przyszło do głowy. Nie starali się przy tym w żaden sposób ukrywać, często głośno krytykując ludzi siedzących stolik obok. Po kilku powolnie płynących minutach spędzonych na przysłuchiwaniu się tej radosnej wymianie plotek Wielki Mistrz spojrzał na arcybiskupa i postanowił kontynuować rozmowę.

- Co zatem widziałeś?

- My... My nie istniejemy. Jesteśmy tylko marną zabawką w głowie szaleńca.

- Czyli jednak ta wizja dotyczyła Boga.

- Nie. Już ci mówiłem, że on nie istnieje. A ta wizja to tylko potwierdza.

- Obawiam się, że nie rozumiem... - Jerantou bezradnie rozłożył ręce. - Jeśli my nie istniejemy, to kto?

- Oni. TAM wszystko jest prawdziwe. TAM żyje też Stwórca.

- Bóg?

- Do cholery, Jerantou, ile razy mam ci powtarzać, że Boga nie ma?! I akurat w tej sprawie powinienś uwierzyć ekspertowi.

- Zatem kto jest naszym stwórcą? I gdzie jest to całe „TAM”?

- Stwórcą jest pewien skryba, Andrzej „Sap” Kowski. Żyje TAM, czyli w prawdziwym świecie. Takim jak nasz, tylko doskonalszym.

- Kim w takim razie jesteśmy? - Wielki Mistrz wciąż zdawał się nie do końca rozumieć  
- Częścią jego wyobraźnią. Myślą. Pomysłem. Istniejemy tylko w jego głowie.  
- Dobrze... - Jerantou dopił do końca swoje piwo i dał znak właścicielowi, że chce jeszcze jedno – Załóżmy, że tak jest. Że jesteśmy czymś wyobrażeniem. Ale co z tego? Mnie wystarczy, że istnieję, albo przynajmniej tak mi się wydaje.

- Racja, nie dostrzegasz jednak najważniejszego problemu – czasu. Nasz Stwórca jest w swoim świecie zwykłym skrybą. Tutaj wszechmocny, TAM słaby i śmiertelny. Czas biegnie u nas zupełnie inaczej, jednak w końcu, za kilka stuleci, nadejdzie moment, w którym On umrze. A my wraz z nim.

- I po to ci się objawił? Żeby cię śmiertelnie przestraszyć?

- Nie. Dał mi zadanie. Mam znaleźć ludzi i założyć Gildię. Organizację, która będzie poprawiała to, co przeoczył i utrzymywała porządek w naszym świecie. Ma też czekać na Znak, po którym wykona dokładne instrukcje, które będą jedyną szansą na uratowanie naszego świata. To będzie największa tajemnica Gildii, dostępna tylko dla Wielkich Mistrzów. Pozostali będą żyli w przeświadczeniu, że są członkami zwykłej gildii kupieckiej o potężnych politycznych wpływach.

- Czemu zatem mi to mówisz?

- Widzisz, Jerantou... Chcę, żebyś ty stanął na czele Gildii...

- Ale co miałbym robić? - zapytał zaskoczony Wielki Mistrz.

- Głównie czekać na Znak. Resztą zajmą się urzędnicy, których zatrudnisz.

- Czym jest Znak?

- To sygnał, że Stwórca umiera. Wówczas Polacy, jakkolwiek ich kraj będzie się nazywał, rozpoczną gwałtowną ekspansję terytorialną.

- Jak mam na to zareagować?

- Cóż... - arcybiskup rozłożył bezradnie ręce – Wtedy wystarczy dostać się TAM i uratować nasz świat. Więcej nie wiem, ale jeśli się zgodzisz, Stwórca sam do ciebie przemówi.

Przy małym stoliku w gwarnej obergerzy znów zapanowała cisza. Arcybiskup Bonifacy bacznie obserwował swojego przyjaciela, który próbował uporządkować w głowie to, co przed chwilą usłyszał. Po dłuższej chwili Jerantou d'Epais wyprostował się i spojrzał prosto w oczy duchownego.

- Zgadzam się – odpowiedział.

W tym momencie obraz w szklanej kuli zniknął, pogrążając mnie w ciemnościach Tajnej Biblioteki.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pierwszy ranek po zaprzysiężeniu na Wielkiego Mistrza spędziłem w bibliotece. Jak się okazało, porządek w księgozbiornie był iluzoryczny. Przez setki lat moi poprzednicy wielokrotnie przekładali opasłe tomiska z miejsca na miejsce, a przeczytane teksty odkładali tam, gdzie było im najwygodniej. W połączeniu z zakazem wstępu służby do Tajnej Biblioteki stworzyło to nieprzenikniony chaos.

To nie były dobre wieści dla kogoś, kto szukał bardzo konkretnego dzieła. Potrzebowałem instrukcji, jak dotrzeć TAM i to szybko. Wielkie Królestwo Polskie było już potęgą, co oznaczało, że koniec jest bardzo bliski.

Jeśli już mowa o Wielkim Królestwie Polskim, stało się ono tak potężne, że nie umiałem sobie wyobrazić siły, która byłaby w stanie stawić czoła Polakom. Być może sekret tkwi w potężnym

zakłęciu lub broni, którą otrzyma Wielki Mistrz otrzyma TAM... Niepokoił również brak wzmianki o tym, co stanie się z Europą już po uratowania świata i czy powróci względna równowaga sił i małe, lokalne wojenki słabych władców. Jeśli nie uda się przywrócić dawnego ładu, czeka nas wiele lat niewolniczego życia w imperium godnym Aleksandra Wielkiego czy Juliusza Cezara. Imperium, o którym z zaciekawieniem się słucha opowieści, ale w którym nie chciałoby się urodzić jako poddany.

Rozważania o losach naszej cywilizacji przerwało mi potworne, świdrujące uczucie wyrrywające wnętrzności i zaciemniające umysł. Głód. Czym prędzej ruszyłem w stronę prywatnej jadalni, by zamówić u kuchmistrza jedną z jego śniadaniowych specjalności. Podobno w całym Londynie nikt nie robił lepszych omletów.

Gdy rozsiadłem się wygodnie przy stole, a z kuchni zaczęły dochodzić wspaniałe zapachy, do komnaty szybkim krokiem wszedł jeden ze służących z listem na srebrnej tacy. Otworzyłem go niespiesznie. Był krótki i napisany w pośpiechu:

*Drogi Albercie!*

*Więści o Twojej ucieczce do Londynu już do nas dotarły. Król (oby żył wiecznie i zniósł podatki) pewnie by się wściekł, gdyby sytuacja nie była tak tragiczna... Wielkie Królestwo Polskie przypuściło szturm na swoich sąsiadów. Zajął Saksonię, Brandenburgię, Czechy oraz Węgry. Nawet Rosjanie są ponoć bliscy upadku i nic nie wskazuje na to, że szala zwycięstwa przechyli się w ich stronę.*

*U nas jest jeszcze gorzej. Bawaria kilka dni temu upadła. Król (oby żył wiecznie i zniósł podatki) został zamordowany na rynku w Monachium. Garście jego przybocznych, a w tym mnie, udało się uciec do zamku Plassenburg, ale i nasze dni są już policzone.*

*Proszę Cię, byś nie zapomniał o swoich wiernych kompanach z czasów wojny i wspomniał o naszej bohaterskiej śmierci przyszłym pokoleniom. Obyśmy się spotkali po drugiej stronie i oby to nastąpiło jak najpóźniej.*

*Z wyrazami szacunku  
Markwart von Hallervorden*

Stary, dobry Markwart. Byliśmy razem w oddziale magów i choć po otwarciu karczmy nie miałem zbyt wielu okazji, by do niego coś napisać, bardzo dobrze go wspominam. Był lojalny i pocziwy, choć obdarzony znacznie mniejszym talentem magicznym, był wspaniałym kompanem każdej podróży. W dzisiejszych czasach był pewnie jednym z najsilniejszych magów na usługach Króla, ostatnim ze „starego pokolenia”.

Dobra wiadomość była taka, że teraz nie musiałem się już przejmować małym incydentem w mojej karczmie. Na głowie miałem jednak znacznie poważniejsze zmartwienie. Okazuje się, że mam znacznie mniej czasu, niż się spodziewałem i jeśli w ciągu najbliższych kilku dni nie odnajdę sposobu na dostanie się TAM lub okaże się on niewykonalny, nic ani nikt nie będzie w stanie ocalić naszego świata od zagłady.

Rozmyślenia przerwał służący, stawiając duży talerz na stole. Pyszne, puszyste połączenie jajek, szynki i cebuli zawładnęło wszystkimi moimi zmysłami. W ostateczności świat może poczekać te kilka minut, prawda?

\*\*\*

Po obfitym śniadaniu wróciłem do Tajnej Biblioteki. Zgromadzono w niej mnóstwo książek,

jednak zdecydowaną większość stanowiły książki kucharskie i pamiętniki. Najciekawsze wydały mi się pamiętniki jednego z Wielkich Mistrzów, Dam Bleudorre'a. Spotkał on pewnego chłopca, którego ścigał jakiś mag. Zdecydował mu się pomóc i w wyniku zawilej intrygi zginął, pogrążając Gildię w chaosie.

Gdy zrezygnowany skończyłem przeglądać pamiętnik i rzuciłem go na sekretarzyk, moją uwagę przykuła niewielka, czarna książeczka wciśnięta pomiędzy kolejne tomy wspomnień i przepisów kulinarnych. Po przeczytaniu tytułu z trudem powstrzymałem się od szaleńczego rechotu. Nareszcie znalazłem to, czego szukałem.

### **Metody pozyskiwania mocy nadludzkich czyli jak dotrzeć TAM spisane przez Wielkiego Mistrza Luisa de Hasardeur'a**

Uczeni od lat się spierają, czy guślarze i wędrowni uzdrowiciele posiadają prawdziwy dar, czy są tylko sprytnymi manipulacjami żerującymi na strachu niewykształconego chłopstwa. Ja również włączyłem się do tej dyskusji i po kilku kuflach piwa postanowiłem osobiście sprawdzić, po czyjej stronie leży prawda.

Aby nie zwracać na siebie uwagi, wyruszyłem sam, w prostym płaszczu podróżnym i z małym tobołkiem na plecach. Podróżowałem po całej Europie, szukając obdarzonych nadludzką mocą znachorów, aż w końcu, pewnego listopadowego dnia, trafiłem do karczmy na trakcie między Wrocławiem, a Krakowem. Usłyszałem tam o chłopie Bożywoju, który ponoć potrafi czynić cuda i wyleczyć każdą chorobę. Mieszka w niewielkiej chałupie nieopodal wsi Rudoltowi, leżącej na południe od traktu, na którym właśnie się znajdowałem.

Nie czas to i nie miejsce na opisywanie dokładnego położenia czy wystroju chaty, gdyż ludzie pokroju Bożywoja mają zwyczaj przemieszczać się z miejsca na miejsce, gdy tylko na ich trop wpadną poborcy podatkowi lub wierzycciele, z którymi często mają zatarg. Niezmiennie jednak trwają przy swoim imieniu, które jest swoistą pieczęcią, gwarancją jakości usług i ogromnych umiejętności. Dość powiedzieć, że chata nie rzucała się w oczy i jedynie udeptany i zatłoczony trakt oraz kolejka przed wejściem zdradzała, że w środku dzieje się coś niezwykłego.

Po odczekaniu dobrych kilku godzin w kolejce przed chatą, w końcu zostałem przyjęty przez Bożywoja. Chłop udzielił audiencji arystokracie. Świat wariuje.

Spytałem go wprost, co potrafi, gdyż nie wierzę w legendy o nieśmiertelności i wskrzeszaniu zmarłych, które krążą wśród czekających przed chatą. Na to Bożywój się uśmiechnął i odparł, że jest w stanie zrobić wszystko, co tylko zechcę.

Tylko czekałem na taką zachętę i wyjawilem, że muszę dostać się TAM, zobaczyć świat Stwórcy. Zbiłem tym widać z tropu guślarza, gdyż siadł na drewnianej ławie i zadumał się. Po kilku minutach podniósł wzrok i wyjawił mi, że jest to możliwe, a jego instrukcję dokładnie spisałem poniżej.

Przede wszystkim należy znaleźć Przybysza, czyli kogoś żyjącego TAM, przebywającego aktualnie w naszym świecie. Od kilku lat Gildia zauważyła pojawiające się w dziwnych okolicznościach grupki podróżników i rycerzy, podejrzewam zatem, że to właśnie oni mogą być Przybyszami.

Jeśli uda nam się nakłonić Przybysza (żywego!) do współpracy, musimy z nim udać się do

Bożywoja. Guślarz, używając swoich tajemniczych ziół, wprowadzi go w trans, pozbawiając go zmysłów, a następnie poda nam ekstrakt, który udało mu się niedawno otrzymać, któremu nadał nazwę LSD (od imion swoich nieślubnych dzieci – Lecha, Smysławy i Dobieluta, do których czuł ojcowską miłość, przynajmniej w momentach, gdy nie wiązało się to z wydatkami). Substancja ta oderwie naszą duszę od ciała i pozwoli przenieść się TAM.

Należy również przygotować sporą sakiewkę złota, gdyż Bożywój w trakcie naszej podróży musi czuwać nad ciałami zarówno Przybysza, jak i podróżującego, co wymaga czasu i poświęcenia.

Wskazówki wydawały się całkiem jasne i, co najważniejsze, wykonalne w dość krótkim czasie. Oficjalna wizyta Wielkiego Mistrza w Wielkim Królestwie Polskim mogła by jednak wzbudzić pewien niepokój władcy, co wiązałoby się z dużym zainteresowaniem szpiegów oraz patroli wojskowych. Znacznie bardziej rozsądne będzie zatem wyruszenie incognito. Jak na razie obywatele Wielkiej Brytanii mogli swobodnie podróżować po włościach Władysława V Zdobywcy.

Największe obawy wzbudziła we mnie wzmianka o Przybyszach, o których do tej pory zbyt wiele nie słyszałem i nie byłem pewien, czy i jak można do nich dotrzeć. Jedyna nadzieja, że Warsonofij lepiej będzie się orientować w tej materii ode mnie.

Była to pierwsza wycieczka po niższych piętrach gmachu od momentu objęcia przeze mnie urzędu Wielkiego Mistrza. Wiele jednak się nie zmieniło, przynajmniej w zachowaniu większości urzędników niższego szczebla. Emanowali oni obojętnością i stoickim spokojem, nie zauważając w większości przypadków mojej obecności. Zapytani o drogę odpowiadali machinalnie, nie podnosząc nawet głowy, całkowicie pogrążeni w biurokratycznym transie.

Okazało się, że Starszy Rady nie ma jednej określonej siedziby. Istnieje sala spotkań całej Rady, w której odbywają się spotkania kilka razy w miesiącu, jednak pozostały czas Warsonofij spędzał na spotkaniach z wysokimi urzędnikami, kupcami oraz doradcami królewskimi w bliżej niesprecyzowanych miejscach, często poza siedzibą Gildii, co dodatkowo utrudniało spotkanie.

Był to idealny moment, by przetestować sprawność służby z moich apartamentów, która miała podobno spełniać nawet najbardziej szalone zachcianki. A jak najszybsze znalezienie Starszego Rady na pewno do takich należało.

Nie miałem żadnych planów na resztę dnia, dlatego poszedłem do jednego z małych saloników i pogrążyłem się w lekturze książki, którą znalazłem w czasie przeszukiwania zbiorów Tajnej Biblioteki. Była to historia Wielkiego Mistrza Dam Bleudorre'a, który poznał w czasie jednej ze swoich przechadzek po Londynie chłopca uwikłanego w konflikt z dyrektorem szkoły, Vol d'Mortem. Chłopiec był prześladowany przez swoje pochodzenie, co skłoniło Wielkiego Mistrza do zaangażowania się w spór i próbę wyjaśnienia, zarówno dyrektorowi szkoły, jak i pozostałym uczniom, jak ważna jest tolerancja. Niestety Vol d'Mort okazał się być człowiekiem niezwykle impulsywnym, a czasy również nie należały do najspokojniejszych. Tym oto sposobem zwykła wydawałoby się mediacja zamieniła się w skomplikowane intrygi, zamachy i zasadzki. Sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna, gdy do saloniku wszedł służący i przerwał mi lekturę.

- Starszy Rady Warsonofij     Gołubiew przybył zgodnie z rozkazem. – zapowiedział.
- Doskonale. Przyrowadź go.

Warsonofij wtargnął szybkim krokiem, z rozwianym włosiem i nieco rozchełstaną koszulą, wycierając czoło bogato zdobioną chusteczką. Wzrok miał nieco rozbiegany i zdawał się myślami być daleko stąd. Chyba wybrałem nienajlepszy moment na spotkanie.

- Wybrałeś nienajlepszy moment na spotkanie, Wielki Mistrzu... - powiedział zmęczonym głosem, gdy podawaliśmy sobie ręce. – Króla strasznie boli głowa i chce powiesić wszystkich swoich

lekarzy, a niemalże połowa z nich jest członkami Gildii. Jakby tego było mało, Hindusi zbierają się do buntu na plantacjach herbaty, aby walczyć o przestrzeganie praw pracownika i chodzą plotki o dodawaniu szczwołu plamistego do liści przeznaczonych na europejski rynek, co może wywołać panikę wśród ludzi. Tak czy inaczej, radziłbym Wielki Mistrz przez najbliższe miesiące ograniczyć spożycie herbaty na rzecz kawy lub piwa. Aha, są jeszcze Żydzi, którzy twierdzą...

- To wszystko bardzo interesujące – przerwałem mu, gdyż prawdopodobnie na Królu, Żydach i Hindusach by się nie skończyło – ale informacje te znajdę również w gazecie. Tymczasem wezwałem cię w znacznie poważniejszej sprawie.

- Zatem zamieniam się w słuch – Warsonofij usiadł na fotelu i schował chusteczkę do kieszeni.

- Zgodnie z notatkami poprzedników, powinienem jak najszybciej udać się w podróż do Wielkiego Królestwa Polskiego. Nie mogę jednak wyruszyć sam...

- Wezwałeś mnie, abym znalazł ci godnego kompana podróży? – Starszy Rady przewrócił oczami, jednak powstrzymał się od dalszego komentarza.

- Nie. Potrzebuję Przybysza.

W saloniku zapanowała cisza. Warsonofij zmarszczył brwi i analizował to, co przed chwilą usłyszał.

- Cóż... Teoretycznie to nie powinno być problemem – powiedział po chwili. – Z reguły nie nawiązujemy z nimi zbyt bliskich kontaktów, jednak nie sądzę, żeby byli wrogo nastawieni...

- Nie zależy mi na dobrowolnym udziale w wyprawie. Może leżeć związany i zakneblowany całą drogę.

- To może ułatwić sprawę. Zatem potrzebujesz ludzi, którzy poszliby z tobą na polowanie?

- Tak. Pozostaje jeszcze najważniejsza sprawa. Nie mam pojęcia, gdzie mogę szukać Przybyszów.

- Z tym nie powinno być większych problemów. Choć nie pojawiają się o ściśle określonych godzinach, można mniej więcej przewidzieć, kiedy to nastąpi. Najczęściej pojawiają się kilka razy w miesiącu na jakimś odludziu w okolicach Amesbury, a następnie ruszają w stronę Londynu. Wystarczy wysłać w tamte rejony kilku ludzi, którzy dadzą znać, gdy Przybysze się pojawią.

- Ilu ludzi będę potrzebował?

- Cóż, najczęściej pojawia się około czterech Przybyszów. Zatem wystarczy, jeśli weźmiesz pięciu albo sześciu ludzi. Doradzałbym magów. Wtedy powinno pójść gładko.

- Dobrze. Dziękuję ci i nie zatrzymuję dłużej, gdyż masz zapewne jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

- Owszem – Warsonofij nie krył ulgi, że spotkanie było tak krótkie. – Życzę ci powodzenia w misji, Wielki Mistrzu.

- Mam dziwne wrażenie, że przyda się, jak nigdy dotąd. – odpowiedziałem w zadumie. Czekala mnie kolejna wycieczka na niższe piętra siedziby Gildii.

\*\*\*

Koszary mieściły się w podziemiach. Prowadziły do nich schody z dużych, nadgryzionych zębem czasu kamieni, które miały niewiele wspólnego z lśniącoymi marmurami, jakich użyto na wyższych piętrach. Również ściany i sufit były kamienne, co dopełniało wrażenia, że nagle przeniosłem się do starego zamczyska i jest tylko kwestią czasu, kiedy zza zakrętu wypadnie na mnie duch tragicznie zmarłego księżniczki, albo zamurowanego gdzieś w korytarzu zdrajcy.

Całością zarządzał William Craven, idealnie pasujący do mrocznej atmosfery lochów. Nosił poplamiony i ponaciągany podkoszulek raczej marnie maskujący bogate owłosienie całego ciała.

Ręce miał grubsze od ud niejednego rosnącego mężczyzny. Nie mogło też zabraknąć wytatuowanej kotwicy na lewym ramieniu. Wyglądał na człowieka, którego niejedno w życiu widział i jest w stanie załatwić każdą sprawę, w mniej lub bardziej dyplomatyczny sposób.

Gdy zszedłem schodami na sam dół i stanąłem w rogu wielkiej sali, w której stały kukły treningowe i wieszaki pełne wszelkiego rodzaju broni, Mistrz Craven (jak z troski o swoje życie i zdrowie zwali go wszyscy w Gildii) jednym płynnym ruchem prawej ręki rozbroił dwóch uzbrojonych po zęby wojowników, trzymając jednocześnie w drugiej ręce kufel piwa.

- Witaj, Mistrzu Cravenie – powiedziałem, starając się, by mój głos brzmiał znacznie pewniej, niż się czułem.

- Aaaaa, Wielki Mistrz! Nareszcie się spotykamy! – wojownik odwrócił się od zbierających się niezgrabnie z ziemi oszołomionych mężczyzn i ruszył w moją stronę. – Co sprowadza Wielkiego Mistrza do mojego królestwa?

- Potrzebuję ludzi do pomocy przy pewnym zadaniu...

- A konkretniej? – William Craven opróżnił jednym łykiem ponad pół kufła.

- Potrzebuję jak najszybciej jednego żywego i bezbronnego Przybysza.

- No no no... - Mistrz Craven uśmiechnął się szeroko. – Z tego co widzę, szykuje się niezła heca. Zaraz zawołam chłopaków.

Ledwo to powiedział, obaj poobijani pechowcy już kuśtykali w stronę korytarzy biegnących w głąb podziemi. Po kilku chwilach do Sali treningowej zaczęli się schodzić mieszkańcy koszar. Było mnóstwo strażników, ale też kilku rycerzy i całkiem sporo magów. Po chwili zrobiło się tłoczno.

William Craven poczekał, aż wszyscy znajdą dla siebie miejsce, po czym z szerokim uśmiechem zapytał:

- Tylu starczy?

Ostatecznie wybrałem pięciu ludzi. Czterech magów (dwaj rudzi bracia O'Connor, sędziwy Melecjusz oraz niski i otyły John Barrel) oraz jednego rębajłę. Sigfrid Magnusson był jednak wart kilkunastu opryszków. Wyglądem przypominał mityczne krasnoludy zamieszkujące podziemia – zdawał się być szerszy niż wyższy, na plecach nosił potężny, dwuręczny topór, a kufel piwa chyba już na dobre zrósł się z jego ręką.

Zaprowadziłem wszystkich do przestronnej komnaty, którą niedawno odkryłem w swoich apartamentach. Ze sporą kolekcją broni wiszącej na ścianach oraz potężnym stołem z wrytą mapą świata na blacie, znakomicie nadawała się na wszelkiego rodzaju narady bojowe, stwarzając niepowtarzalny klimat. Gdy wszyscy weszli, rozsiadłem się w jednym z foteli i zacząłem:

- Panowie, sprawa jest prosta. Mamy schwycić jednego żywego Przybysza. Cała reszta nas nie obchodzi, jednak byłoby dobrze, gdybyśmy to zrobili możliwie najdyskretniej... Jakież pomysły?

- Może po prostu pójdziemy i im przetrzepiemy skórę? – zaproponował z nadzieją w głosie Sigfrid.

- Dokąd się udajemy w poszukiwaniu naszego Przybysza? – Melecjusz zignorował nie do końca trafiony pomysł siłacza.

- Warsonofij doradził mi, żebyśmy się udali na zachód i tam na trakcie przechwycili cel. Nie ma tam zbyt wielu miast, więc najprawdopodobniej spotkamy się z nimi w szczerym polu – odpowiedziałem.

- Zatem proponuję jakoś się zakamuflować. – kontynuował Melecjusz – Dajmy na to wóz z sianem. Łatwo się schować, łatwo też szybko wyskoczyć. Nie zwraca przy tym niczyjej uwagi.

- Dobry pomysł. – pochwaliłem – A co, gdy ich już spotkamy?

- Jak to co? Po łbie i na wóz! – Sigfrid wykazał się godną pochwały wytrwałością w obstawaniu przy swoim. Tym razem jednak zdałem sobie sprawę, że to ma sens.



- Świetnie, zatem mamy plan działania. Pora wcielić go w życie – powiedziałem, udając się w kierunku prywatnej jadalni, gdyż nieubłagane zbliżała się pora drugiego śniadania.

\*\*\*

W oddali na trakcie pojawiło się kilkunastu mężczyzn. Gdy odległość nieco zmalała, dostrzegłem, że wszyscy nosili długie i luźne szaty magów. Przybysze zgodnie z planem pojawili się w naszym świecie, jednak w znacznie większej liczbie, niż normalnie. Szykowały się kłopoty.

Nasz wóz powoli zbliżał się do podróżnych i stało się jasne, że nasz plan nie wypali. Co innego ogłuszyć pałką jednego człowieka, a co innego całą zgrają. Gdy odległość między nami zmalała do tego stopnia, że mogłem wyraźnie dostrzec rysy twarzy magów, odwróciłem głowę w stronę siana i powiedziałem:

- Panowie, zmiana planów. Atakujemy.

Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Nagle z kupy siana na wozie powożonym przez nędznie ubranego chłopca wyskoczyło kilku bogato ubranych członków Gildii i ustawiło się w szyku bojowym. Zeskoczyłem na ziemię, stając w szeregu i lekko skinąłem głową, dając sygnał do ataku.

Przybysze mieli znaczną przewagę liczebną, na szczęście nasz nagły atak całkowicie ich zaskoczył. Minęło sporo czasu, nim zdążyli odrzucić tobołki i przygotować się do obrony. Zanim do tego doszło, udało nam się powalić czterech z nich magicznymi pociskami, a Sigfrid dopadł do kolejnego ze swoim potężnym dwuręcznym mieczem. Wywiązała się regularna bitwa.

Przeciwnicy coraz sprawniej się organizowali i po kilku minutach zostaliśmy zepchnięci do obrony. Sytuacja wydawała się beznadziejna, gdyż z minuty na minutę stawaliśmy się coraz słabsi i nic nie wskazywało, że sytuacja ulegnie zmianie. Gdy tak powoli, krok po kroku, zbijaliśmy się w ciasną grupkę, nagle przypomniałem sobie pewien traktat o samoobronie, znaleziony w trakcie poszukiwań wskazówek, jak dotrzeć TAM. Było w nim opisane pewne zaklęcie, bardzo niebezpieczne i wymagające znacznych umiejętności magicznych. Autor przestrzegał, aby używać go tylko w sytuacjach bez wyjścia, a i to najlepiej poza miastem, gdyż jest na tyle potężne i nieprzewidywalne, że może trwale odmienić sporą część terenu. Teraz pozostało tylko przypomnieć sobie brzmienie... *Kivo... Kivade... Wiem!*

- *Kivide sajab siin!* – wrzasnąłem ponad bitewnym zgiełkiem, w ostatniej chwili uchylając się przed ognistą kulą posłaną przez jednego z Przybyszów.

Przez chwilę nic się nie działo. Już chciałem spróbować jeszcze raz, gdy wysoko ponad polaną rozległ się przeciągły świst. Podniosłem głowę i moim oczom ukazała się czysta Apokalipsa. Prosto z nieba w obłędnym tempie spadały ogromne głazy. Mnóstwo głazów. Pozostali walczący również usłyszeli dziwny dźwięk i powoli podnosili głowy do góry. W niemym przerażeniu, niezdolni do najmniejszego ruchu, wszyscy spoglądali na zbliżającą się katastrofę.

Wszystkie głazy uderzyły w jednym momencie, niczym strzały wyćwiczonych łuczników strzelających równo na komendę swojego dowódcy. W powietrze wzbił się pył, zasłaniając pole bitwy, oślepiając i dusząc wszystkie żywe istoty w promieniu kilkudziesięciu jardów.

Gdy kurz opadł, moim oczom ukazało się potężne pobojuwisko. Na ziemi leżały porozrzucone strzępy ubrań i fragmenty kończyn, trawa była doszczętnie spalona przez miotane zaklęcia, a z kilku pobliskich drzew zostały tylko zwęglone kikuty.

Przede mną stał las ogromnych głazów, wbitych głęboko w ziemię, formujący się w coś na wzór okręgu. Część głazów, najwidoczniej odbijając się jakimś sposobem od ziemi lub pozostałych kamieni, leżała teraz rozrzucona bez ładu w całej okolicy. Takiej masakry nie mógł przeżyć żaden z Przybyszów. Chyba, że ktoś go ochraniał.

Odwróciłem się i zacząłem szukać towarzyszy broni. Sigfrid stał oszołomiony przed głazem,



trzymając topór wysoko nad głową, nie bardzo rozumiejąc, gdzie mógł się podziać jego przeciwnik, którego miał nadzieję rozplatać na pół. Bracia O'Connor kulili się obok siebie, schowani pod magiczną tarczą. Obok nich zdziwiony John Barrel drapał się w jeden ze swoich licznych podbródków i próbował zrozumieć, co właśnie się stało.

Nerwowo zacząłem się rozglądać za Melecjuszem, który miał się zaopiekować w czasie bitwy jednym Przybyszem i zachować go na tyle żywego, na ile to możliwe. Zacząłem się już niepokoić, że może jeden z pocisków nieopatrznie spadł również na niego, jednak w tej chwili wyszedł zza wyjątkowo szerokiego głazu i pomachał w moją stronę.

- Chyba jest tutaj! – krzyknął.

Pobiegliśmy wszyscy w jego stronę. Kamień nie różnił się niczym od pozostałych, jednak zdawał się być wbity znacznie płycej. Jest zatem szansa, że magiczna osłona wytrzymała uderzenie, a tym samym Przybysz jest ciągle żywy.

Sigfrid Magnusson naparł z całej siły na głaz, ten jednak ani drgnął. Musiał być niesamowicie ciężki, gdyż na świecie jest bardzo mało rzeczy, które oparłyby się sile mięśni krzepkiego Szweda.

Jedyną szansą na ruszenie obelisku było użycie magii. Stanęliśmy wszyscy dookoła i używając całej pozostałej po bitwie mocy, staraliśmy się uwolnić Przybysza z pułapki. Pod naporem magii głaz lekko zadrżał, a następnie powoli zaczął się unosić. Po chwili upadł ciężko na ziemię, wzbijając w powietrze chmurę pyłu.

Przybysz był cały, jednak stracił przytomność, czy to ze strachu, czy z braku powietrza. Ostrożnie go wyciągnęliśmy i położyliśmy na ziemi. Nie byliśmy w stanie ocenić, czy stało mu się coś poważnego, dlatego też zdecydowałem jak najszybciej przetransportować go do siedziby Gildii.

Gdy ostrożnie go podnieśliśmy i ruszyliśmy w kierunku wozu z sianem, Przybysz ocknął się i nieprzytomnym wzrokiem zaczął nam się przyglądać. Następnie przeniósł wzrok na oddalający się kamienny krąg i otworzył szerzej oczy.

- Ston... Stonehenge! – wyjęczał i znów stracił przytomność.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na potężne głazy, zesłane z nieba przez pradawną magię. Stonehenge... Może być.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Medycy nie znaleźli żadnych poważniejszych uszkodzeń ciała i podejrzewali, że w ciągu kilku dni Przybysz w pełni wróci do zdrowia. Jedyne, co częściowo utracił, to pamięć.

Było mi to bardzo na rękę, gdyż znacznie ciężiej byłoby zaskarbić sobie jego zaufanie, gdyby kojarzył moją twarz z walką pod Amesbury. Nadal jednak nie miałem pojęcia, jak go przekonać do wyruszenia ze mną w długą podróż, której finału nie znam i w czasie której nie mogę mu zagwarantować bezpieczeństwa.

Minęło kilka dni i nie mogłem już dłużej odkładać wizyty. Po pysznym i obfitym śniadaniu udałem się do skrzydła szpitalnego, które zajmowało całe trzy niewielkie komnaty na parterze. Przybysz leżał w jednym z kilku AI i zdawał się czuć całkiem dobrze.

- Witaj – powiedziałem, siadając na brzegu łóżka.

- Kim jesteś? – zapytał z nieufnością.

- Albert von Tannenberg, Wielki Mistrz Gildii. Uratowałem ci życie, gdy zostaliście

zaatakowani przez jakichś opryszków.

- Nic nie pamiętam z tamtego dnia – Przybysz zatroskał się, po czym dodał – Jestem Arthur Lisicky. Mag.

- Miło mi cię poznać, Arthurze. – powiedziałem całkiem szczerze, po czym przeszedłem do sedna sprawy – Nie przyszedłem jednak tutaj tylko na moją pogawędkę. Potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej? Ale w czym ja mogę pomóc? – zdziwił się Arthur – Nie jestem zbyt potężnym magiem i mam zaniki pamięci, a poza tym...

- Wiem to wszystko – przerwałem mu. – Potrzebuję jednak kogoś spoza Gildii, gdyż moja misja jest bardzo delikatna i nie mogę pozwolić, by ktoś rozpoznał przy mnie jednego z członków Gildii. Ja sam jestem mało rozpoznawalny, gdyż większość czasu spędzam w swoich komnatach, jednak zwykli członkowie bardzo często pomagają ludziom w Londynie w ich codziennych sprawach, co sprawia, że są powszechnie znani.

- A co to za misja? – chyba wzbudziłem w nim zaciekawienie.

- Muszę się udać do Wielkiego Królestwa Polskiego i odnaleźć Bożywoja, tajemniczego znachora i cudotwórcę.

- Brzmi interesująco, ale co ja miałbym tam robić?

- Nic. Towarzyszyć mi. Rozmawiać. W razie potrzeby pomagać w walce. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać. W dzisiejszym świecie nie ma zbyt wielu takich ludzi, ale wydaje mi się, że jednym z nich jesteś ty.

- Możesz na mnie liczyć, Wielki Mistrzu. Kiedy ruszamy?

- Jutro rano. – powiedziałem, po czym odwróciłem się i pośpiesznie odszedłem, nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu.

\*\*\*

Choć z początku chciałem wybrać drogę lądową, ostatecznie zdecydowałem się na podróż statkiem do Gdańska. W niektórych regionach, przez które byśmy przejeżdżali, sytuacja była wciąż bardzo napięta i w każdej chwili mogło wybuchnąć antypolskie powstanie. W takiej zawierusze bardzo łatwo stracić życie, co znacznie skomplikowałoby moje plany.

Płynęliśmy jednym z kupieckich statków należących do Gildii. Oficjalnie byliśmy handlarzami, podróżującymi po całej Europie w poszukiwaniu łatwych okazji, by się wzbogacić. Nosiliśmy proste, mieszczańskie stroje i nie obnosiliśmy się z bogactwem, dzięki czemu nikt nie zwracał na nas większej uwagi. Dla bezpieczeństwa naszej misji, nawet załoga nie miała pojęcia, kim jesteśmy w rzeczywistości.

Dzień, w którym przyплыliśmy do Gdańska był słoneczny. Nasz statek powoli zbliżał się do potężnego portu, skąpanego w pomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Choć mogło to być złudzenie, wydaje mi się, że jest to największy port na świecie, prawdziwy pomnik wielkości naszej cywilizacji i drwina z filozofów rozprawiających o marności życia ludzkiego.

Sam port nie odznaczał się egzotyczną architekturą, czy ogromnymi posągami, jednak był niesamowicie rozległy i dla przyplływającego tu pierwszy raz, zdawał się być skomplikowanym labiryntem wąskich kanałów i ciasnych przesmyków, gęsto otoczonych wybrukowanymi uliczkami i małymi placykami, na których stały świeżo wyładowane skrzynie i na których kwitł handel. Miejsce to uderzało chaosem, jednak wystarczyło przyglądać się nieco uważniej i wszędzie dostrzegało się niezwykle sprawną organizację i dyskretną kontrolę strażników.

Nasz statek dostał miejsce w samym centrum tego mrowiska, zostaliśmy więc natychmiast wchłonięci przez lokalną atmosferę radosnego handlu i chaotycznego pośpiechu.

Gdzieś na obrzeżach portu miał na nas czekać zamówiony wcześniej powóz. Załatwienie go wymagało sporego wysiłku i wykorzystania kilku przysług, gdyż Wielkie Królestwo Polskie przeżywało prawdziwy „koński kryzys”. Husaria, podbijająca coraz to dalsze tereny we wszystkich regionach Europy, potrzebowała ogromnych ilości tych zwierząt i hodowcy nie nadążali za popytem. Sprawiało to, że nawet za starą szkapę, która ledwo stała na nogach, trzeba było płacić, jak za czystej krwi araba. Było to dosyć zabawne. Przynajmniej do momentu, kiedy samemu nie potrzebowało się wierzchowca.

Na szczęście nasze konie były bardzo przyzwoite. W normalnych czasach uznałbym je za najzwyczajniejsze i nieciekawe wierzchowce, jednak teraz były warte kilku większych wsi.

Powóz był dosyć skromny, ale całkiem wygodny. Idealnie nadawał się na długą podróż dla dwóch osób, które nie chciały zwracać na siebie zbyt wiele uwagi.

Nie zwlekaliśmy zbyt długo i po szybkim posiłku w portowej kantynie wyruszyliśmy w drogę. Ostatni raz byłem w Wielkim Królestwie Polskim blisko 15 lat temu i od tamtego czasu bardzo dużo się zmieniło. Władysław V Zdobywca, czerpiąc najwyraźniej pełnymi garściami ze skarbców podbitych państw, wybrukował wszystkie najważniejsze trakty, a także wiele pomniejszych, łączących kilka małych miasteczek.

Wprowadził również częste patrole uzbrojonych strażników oraz swój własny wynalazek – szyldy traktowe. Ludzie mówią, że wpadł na to w czasie jednej z suto zakrapianych uczt, jakie często organizował w swoim pałacu. Poczuvszy pilną potrzebę, wybiegł z Sali i kierując się dyskretnymi znakami wmurowanymi w ściany, w ostatnim momencie dotarł do celu. Opróżniwszy pęcherz miał wyjść na korytarz i z płomieniem ekscytacji w oczach zapytać służących „Dlaczegoż to nie ma takich znaków na naszych traktach?!”.

Pomysł był bardzo prosty i szybko wcielono go w życie. Wzdłuż wszystkich traktów, co mniej więcej pięć staj, stał duży drewniany szyld. Na samej górze wyryto nazwę najbliższego miasta, a poniżej czas jazdy powozem. Szyldy traktowe pozwalały podróżnym nieznanym okolicy, sprawniej organizować drogę i szybko zyskały wielkie uznanie i podziw w całej Europie.

Władysławowi V to jednak nie wystarczyło. Chwilę po postawieniu szyldów traktowych, w całym kraju zaczęły się budować przydrożne gospody. Potocznie zwano je „piątkami”, na cześć ich pomysłodawcy. Idea była bardzo prosta i spodobała się wszystkim karczmarzom, nawet tym z podbitych krain. Mogli oni za drobny udział w zyskach dożywotnio wynająć urządzoną gospodę i zarabiać krocie na tłumach podróżnych.

Gospody te znacznie różniły się od pozostałych. Główna sala była jasno oświetlona i dosyć czysta. Piwo serwowano w mytych od czasu do czasu kuflach, a w gulaszu próżno było szukać szurzych ogonów.

Ponadto, przy schodach wiodących na piętro, gdzie mieściły się pokoje dla podróżnych, stał uzbrojony strażnik. Wpuszczał tylko ludzi z karteczkami wydanyymi przez barmana, co miało powstrzymać ewentualnych skrytobójców, którzy stali się w ostatnich latach prawdziwą plagą na europejskich traktach.

Po pożywnym posiłku pożegnałem się z Arthurem i poszedłem spać. Czekala nas jeszcze długa i męcząca podróż i trzeba było korzystać z każdej nadarzającej się okazji, by odpocząć.

Po obfitym śniadaniu szybko się spakowaliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Miałem nadzieję, że uda nam się dotrzeć do Krakowa zanim zostaną zamknięte wszystkie bramy. W przeciwnym razie czeka nas jeszcze jeden nocleg w gospodzie na trakcie i do stolicy Wielkiego Królestwa Polskiego będziemy mogli wjechać dopiero następnego dnia.

Wszystko szło dobrze aż do okolic Częstochowy. Gdy znaleźliśmy się nie dalej, niż godzinę drogi od sanktuarium, trakt zaczął przypominać targowisko. Z początku małe i rozproszone grupki

pielgrzymów złączyły się w jeden strumień wiernych, wolnym krokiem zmierzających do miejsca kultu. Zajęli całą szerokość traktu i zdawało się, że ta rzeka ludzi ciągnie się bez końca, niknąc daleko z przodu za drzewami. Niczym bastiony w czasie oblężenia, z tłumu wystawały kupieckie i chłopskie wozy, na próżno próbujące utorować sobie drogę. Nie pozostawało nam nic innego, jak podążać żółwym tempem w rytm pieśni religijnych aż pod samo sanktuarium.

Do Krakowa dotarliśmy w środku nocy. Bramy były już zamknięte i musieliśmy zatrzymać się w „piątce” położonej nieopodal murów. Gospoda była szczelnie wypełniona podróżnymi, którym nie udało się na czas dotrzeć do stolicy. Jak można się było spodziewać, nie było już wolnych pokoi. Nie było również wolnych miejsc przy stolikach. Stojąc w niesamowitym ścisku udało nam się jakoś zjeść resztki gulaszu, jakie wygrzebała gospodyni z dna kotła, po czym udaliśmy się do powozu.

\*\*\*

Poranek powitał nas bolesnym wspomnieniem drewnianej ławy z powozu oraz przykurczem nóg, które nijak nie chciały się zmieścić w niezbyt dużej kabinie. Z trudem wygramoliliśmy się z naszego wehikułu i poświęciliśmy kilka minut na rozciągnięcie odrętwiałych mięśni.

Pozostali podróżni również się budzili i powoli przy bramie wjazdowej do Krakowa zaczęła się formować długa kolejka. Zaspani strażnicy nie kwapili się z otwarciem bram i spokojnie grali sobie w karty. Jednak po kilku rozdaniach dowódca sromotnie przegrał sporą sumkę i zdenerwowany nakazał swoim podwładnym iść do pracy. Tym sposobem dostaliśmy się do Krakowa.

Potrzebny nam był przewodnik, ponieważ nie miałem zielonego pojęcia, gdzie leży wieś Rudoltowy. Z tego co pamiętałem, na rynku, tuż obok Sukiennic, stała zawsze karetka pełniąca rolę biura Związku Przewodników Polskich. Za drobną opłatą prowadzili oni podróżnych do celu, bez względu gdzie i co tym celem było.

Z trudem przepychaliśmy się powozem przez tłum mieszczan, turystów i złodziejaszków, który zdawał się wypełniać wszystkie krakowskie ulice. Nawet z ciemnych i niebezpiecznych zaułków płynęła we wszystkich kierunkach rzeka ludzi. W końcu jednak dotarliśmy na rynek i naszym oczom ukazał się obraz niesamowitego chaosu i szaleństwa. Karczmarze powystawiali przed swoimi szynkami drewniane ławy, przy których można było siąść i uraczyć się piwem, obserwując jednocześnie przechodniów.

Kilka metrów dalej zaczynały się stragany, na których sprzedawano wszystko, co tylko można sobie było wyobrazić. Zajmowały całą wolną przestrzeń, pozostawiając tylko wąskie przejścia i kilka szerszych uliczek. Człowiek miał wrażenie, że jest to miasto w mieście, twór całkowicie niezależny, wepchnięty magiczną siłą w sam środek polskiej stolicy. Znaleźć można było nawet stragany w kształcie miniaturowych katedr i kościołów, gdzie można było kupić różańce i relikwie. Szczególną popularnością cieszyły się kciuki świętego Wojciecha, w wyjątkowo okazyjnej cenie. Jak głośił szyld wymalowany przez handlarza, zostało „ostatnie 50 sztuk”.

Na rynku niemożliwe było poruszanie się jakimkolwiek powozem, musieliśmy więc dalej iść pieszo. Wciągnięci w szalony tłum turystów i kieszonkowców, błakaliśmy się między straganami, oszołomieni różnorodnością i ilością sprzedawanych rzeczy. Człowiek był w takim tłumie całkowicie bezradny. To nie on decydował, czy pójdzie w prawo, czy w lewo. Również nie od niego zależało, czy zachowa swoją sakiewkę, czy też zniknie ona w niewyjaśnionych okolicznościach.

Kierowani jakąś wyższą siłą, która zdawała się panować nad tłumem i wskazywać mu drogę, dotarliśmy pod Sukiennice. Pociągnąłem Arthura za rękaw i weszliśmy między dwa stragany. Nareszcie mogliśmy na chwilę przystanąć i rozejrzeć się po okolicy. Siedziba przewodników

znajdowała się najprawdopodobniej na drugim końcu rynku, musieliśmy więc jakoś się do niej przedostać. Nie chcieliśmy znów kluczyć wokół straganów, naciskani z każdej strony przez otępiały tłum. Aby tego uniknąć, poszliśmy przy samym murze Sukiennic, za straganami, wzbudzając podejrzliwe spojrzenia i złorzeczenia kupców, którzy trzymali tutaj swoje towary i dzieci.

W końcu naszym oczom ukazał się duży szyld postawiony na dachu karety przewodników. Głosił on w kilku językach „Usługi maści wszelakiej, a słusznej drogi znajdowania dotyczące”. Gdy minęliśmy ostatni stragan, podszedł do nas młody mężczyzna ubrany w jaskrawe ciuchy, z globusem przywiązanym do głowy.

- Może panów zaprowadzić? Na Długą, na Szewską, w Tatry, do Gdańska... Gdzie tylko sobie wielmożni panowie zażyczą! – zagaił szeroko otwierając ramiona i prowadząc nas w stronę karety.

- Właściwie, to chcielibyśmy... - zacząłem.

- To świetnie! Wspaniale! Takich klientów lubimy najbardziej! Jak mawiał Platon, *coniugium sine prole est quasi dies sine sole*! Zatem nie przedłużajmy, dokąd panowie zmierzają?

- Szukamy... - spróbowałem jeszcze raz.

- I słusznie! Jak mawiał Arystoteles, *quidquid Latine dictum sit, altum videtur*.

- Ja natomiast, jak mawiał Horacy, zaraz przejdę *a verbis ad verbera*. – przerwałem tę filozoficzną tyradę, tracąc cierpliwość – Musimy się jak najszybciej dostać do wsi Rudoltowi, do niejakiego Bożywoja.

- Ach... - przewodnik nabrał powietrza i spojrzał na nas znacząco - Panowie mają problemy przedłużeniem szacownego rodu i zadowoleniem szanownych małżonek?

- My nie ma... - w ostatniej chwili powstrzymałem się przed zaczęciem bezsensownej kłótni – Tak. I bardzo nam spieszno.

- Świetny wybór. Uzdrowiciel Bożywój to prawdziwy ekspert w tych – tu przewodnik wykonał kilka jednoznacznie kojarzących się gestów – sprawach.

- Myślałem, że zajmuje się wszystkimi dolegliwościami?

- Tak było kiedyś. Teraz jednak odkrył, że szlachcice gotowi są płacić złotymi sztabami, byle tylko móc chędożyć więcej dziewczek. – wyjaśnił tonem eksperta młody przewodnik. – Kiedy możemy ruszać?

- Natychmiast.

- Jak sobie jaśnie pan życzy.

\*\*\*

Nie sposób było nie zauważyć chaty Bożywoja. Otoczona zewsząd przez pustkowia i zaniedbane pola, była jedyną budowlą we wsi Rudoltowi. Zdawało się jednak, że mieszkało w niej więcej ludzi, niż w niejednej mieścinie. Miała pięć potężnych pięter, z licznymi wykuszami i tarasami oraz mnóstwem małych balkoników, wieżyczek i gargulców. Przeczyła wszelkim prawom fizyki i Królewskiego Towarzystwa Architektonicznego, będąc mariażem wizji szalonego architekta i pijanego budowniczego.

Przed wejściem były ustawione długie ławy, na których siedziała ponad setka mężczyzn w różnym wieku. Panowała całkowita cisza, wszyscy w skupieniu wpatrywali się w ciężkie dębowe drzwi. Co kilka minut wychodził przez nie wysoki mężczyzna, ubrany na biało i z wąskimi okularami na haczykowatym nosie. Omiatała wszystkich zgromadzonych przenikliwym spojrzeniem, po czym lekko skłaniał głowę w stronę najbliższej siedzącego, zapraszając go do środka.

Kolejka przesuwała się bardzo wolno. Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce. Chwyciłem za ramię Arthura i pewnym krokiem pomaszerowałem w stronę drzwi, zwracając na siebie uwagę

wszystkich mijanych mężczyzn. Gdy stanęliśmy przed drzwiami, wziąłem zamach i kilka razy uderzyłem z całej siły w grube dębowe bale.

Zdawało się, że cała okolica zamarła z przerażenia. Nawet uwiązane w pobliżu konie wstrzymały oddech, instynktownie wyczuwając nadchodzące niebezpieczeństwo. W powietrzu czuć było niedowierzanie i strach.

Po chwili drzwi lekko skrzypnęły i powoli się uchyliły. Para chłodnych, błękitnych oczu spojrzała na mnie badawczo, tuż ponad cienkimi oprawkami okularów. Odźwierny nie odezwał się ani słowem, zastygł w bezruchu, całą swoją energię wkładając w spojrzenie.

- Jestem Albert von Tannenberg, Wielki Mistrz. Przybywam do Bożywoja w tajnej misji – wymamrotałem w końcu, bezskutecznie próbując zapanować nad głosem.

- Zaczeka – odźwierny ledwo poruszył ustami, wydając z siebie coś bardziej przypominającego westchnienie, niż jowialne przywitanie ważnego gościa.

Drzwi zamknęły się. Staliśmy z Arthurem przed setkami mężczyzn, wpatrujących się w nas z mieszkanką podziwu i niedowierzania. W końcu, po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach, drzwi uchyliły się ponownie. Odźwierny spojrzał na nas i ledwo zauważalnie skinął głową, zapraszając do środka. Gdy przekraczaliśmy próg siedziby Bożywoja, za nami rozległ się wściekły pomruk, wydany przez mężczyzn, którzy czekali tu od kilku dni, czy nawet tygodni.

Wędrowaliśmy niskimi i ciemnymi korytarzami, mijając komnaty, w których zamaskowane postacie pochylały się w skupieniu nad leżącymi przed nimi nagimi mężczyznami. Niektóre pomieszczenia były wypełnione gęstym, czerwonym dymem z kadzidła, który drażnił oczy i gryzł w gardło. W innych, aby obniżyć temperaturę, ustawiono potężne bloki lodu. W kilku rozpalono wysokie ogniska, do których zakapturzeni szamani wrzucali tajemnicze przedmioty. Nagle, gdzieś nad nami, rozległ się przeciągły, wwiercający się w głowę krzyk.

Wymieniliśmy z Arthurem przerażone spojrzenia. Medycyna niekonwencjonalna wyglądała znacznie atrakcyjniej na ustach bardów niż w rzeczywistości.

W końcu dotarliśmy do powoli rozszerzającego się korytarza, który dalej zamieniał się w dużą, owalną komnatę. Na podłodze leżało mnóstwo poduszek, w kilku miejscach były ułożone wokół fajek wodnych lub mis pełnych daktyli. Pod ścianami, niemal całkowicie wtapiając się w tło, trwali nieruchomo w przykłęku służący, pilnie nasłuchując wezwania. W pomieszczeniu panował tajemniczy półmrok. Nawet jeśli były tu jakieś okna, zasłaniały je ciężkie, ciemnopomarańczowe kurtyny, rozwieszone na wszystkich ścianach. W powietrzu unosił się ciężki zapach kadzideł, powodujący zawroty głowy i mdłości.

Bożywój siedział na sterce poduch pod ogromnych baldachimem. Miał na sobie prostą, białą szatę, przepasaną błękitnym jedwabnym pasem. Wpatrywał się w jakiś punkt na suficie i zdawał się zupełnie nas nie zauważać. Odźwierny doprowadził nas do pierwszych poduch, po czym bez słowa odwrócił się i pospiesznie wyszedł z sali.

Staliśmy nieco zdezorientowani, nie bardzo wiedząc, jak powinniśmy się zachować. Bożywój był całkowicie pochłonięty analizowaniem sufitu i nie wyglądał na człowieka, który miałby ochotę z kimkolwiek o czymkolwiek rozmawiać.

- Ekhm – zacząłem dyplomatycznie.

Bez skutku.

- EKHM – powtórzyłem znacznie głośniej.

- Słyszałem już za pierwszym razem – Bożywój odpowiedział głębokim, wibrującym głosem.

– Co was sprowadza?

- Jestem Albert von Tannenberg, Wielki Mistrz. A to mój towarzysz, Arthur. – wskazałem na stojącego obok mnie maga. - Przybysz.

- Ach, zatem sądzisz, że nadeszła ta chwila, w której należy udać się TAM?

- Tak.

- I nie widzisz żadnego innego wyjścia?

- Nie.

- Bowiem widzisz... - Bożywój poprawił poduchę pod nogami i kontynuował – podróż nie jest przyjemna, ani bezpieczna. Nie gwarantuje też sukcesu. Ba, samo dotarcie TAM jest tylko pierwszą, najłatwiejszą częścią misji. Jeśli istnieje więc choćby wątpliwa nadzieja na wyjście z obecnej sytuacji w inny sposób, odejdź.

- Niestety nie mam alternatywy. Muszę to zrobić.

- Zatem do roboty.

Bożywój skinął na jednego ze sług, który zerwał się błyskawicznie i podbiegł do swego pana. Wysłuchawszy instrukcji, szybko pobiegł w stronę drzwi w rogu. Po kilku chwilach wrócił ze złotym kielichem, bogato zdobionym nożem i kilkoma fiolkami różnokolorowych płynów. Podał to wszystko w głębokim ukłonie swojemu panu, po czym pospiesznie wycofał się na swoje miejsce pod ścianą.

W skupieniu patrzyłem, jak Bożywój wlewa do kielicha zawartość wszystkich fiolek. Następnie zamieszał wszystko nożem i podniósł wzrok. Spojrzał na Arthura i zrobił zapraszający gest. Mój towarzysz podróży nieśmiało zbliżył się do znachora, nie bardzo wiedząc, czego może się spodziewać. Ten chwycił go szybko za rękę i jednym pewnym ruchem rozciął skórę na nadgarstku.

Arthur krzyknął i próbował odskoczyć, nie dał jednak rady wyrwać się z mocnego chwytu. Bożywój cierpliwie poczekał, aż do kielicha spłynie kilkanaście kropli krwi i dopiero wtedy puścił przerażonego Przybysza. Ten odskoczył przerażony i pobiegł w stronę wyjścia.

W komnacie zapanowała całkowita cisza. Patrzyłem z mieszaniną przerażenia i wściekłości na Bożywoja, który odpowiedział mi zimnym, pozbawionym jakichkolwiek emocji spojrzeniem.

- Już nie ma odwrotu – powiedział podając mi kielich. – Musisz to wypić. Zanim to jednak zrobisz, musisz wiedzieć, jak wrócić TU.

- A co się stanie z Arthurem? – z lekkim obrzydzeniem patrzyłem na trzymany w rękach kielich, w którym krew mojego towarzysza powoli mieszała się z jaśniejszą cieczą.

- To akurat nie powinno cię zbytnio obchodzić. Mogę cię jedynie zapewnić, że nie powinien ponieść większego uszczerbku na zdrowiu. Ale do rzeczy... Jeżeli wypełnisz już TAM swoją misję, będziesz musiał się przygotować do powrotu. Przede wszystkim musisz znaleźć miejsce, w którym nikt ci nie będzie przeszkadzał i w którym będziesz mógł bezpiecznie przebywać przez kilkanaście godzin. Wtedy musisz zażyć specyfik i obudzisz się już TU.

- Specyfik?

- Dietyloamid kwasu D-lizergowego.

- Jak go mogę zdobyć?

- Nie będziesz w stanie go sam uwarzyć, jednak nie powinieneś mieć większych problemów z zakupem od jakiegoś podróżnego alchemika. Potrzebujesz dwie tysięczne części grama.

- Ale jak trafię TU? Jak znajdę drogę?

- O to się nie martw. A teraz pij.

Wychyliłem jednym haustem zawartość kielicha. Czekałem przez kilka uderzeń serca, jednak nic się nie wydarzyło.

- Na pewno wszystko zadziała? – zapytałem podenerwowany.

- Na pewno. A teraz usiądź i się odpręż – odpowiedział spokojnym głosem Bożywój. Skinął na jednego ze sług, który przyniósł mu fajkę wodną. Uzdrowiciel rozsiadł się wygodnie, zaciągnął głęboko i zaczął nucić głębokim głosem jakąś dziwną, hipnotyzującą pieśń. Usiadłem na stosie poduszek i wsłuchałem się w ten rytmiczny pomruk.



Po kilku chwilach słowa zaczęły wirować, każde z nich wypalało w mojej głowie wyraźny ślad. Przed oczyma zaczęły wirować złote kielichy, przeobrażając się w chmury lśniącej mgły, która mnie oblepiła. Dźwięki stały się niskie i dudniące, słyszałem bicie serc służących kłęczących pod ścianami, zaczęły do mnie docierać ich myśli i uczucia. Nagle moje ciało opadło bezwładnie na poduchy, ja jednak wciąż siedziałem chłonąc całe otoczenie. Mimowolnie spojrzałem w górę i zacząłem lecieć w stronę sklepienia. Wszystko było tak oczywiste i na swoim miejscu. Rozpędziłem się do niesamowitej prędkości i uderzyłem w mur. Pogrążyłem się w ciemności.

Koniec księgi pierwszej



## KSIEGA DRUGA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystko stało się proste. Fizyczne zagwozдки, matematyczne problemy, filozoficzne dywagacje. Tysiące myśli przebiegało na raz przez mój umysł, który próbował jakoś nad nimi zapanować, jednak po chwili poddał się i pozwolił im swobodnie przepływać.

Przez chwilę zdawało mi się, że leżę na czymś przyjemnie miękkim w jakiejś komnacie. Musiała to być rezydencja jakiegoś bogacza, gdyż w zwykłych mieszczańskich i chłopskich domach raczej nie inwestowano w tak wygodne meble. Ogarnęło mnie jednak niesamowite uczucie lekkości i wszechwiedzy i komnata zdawała się odlatywać szybko w dół, pograżając się w niebycie.

Poczułem euforię. Zacząłem chichotać i nie umiałem się opanować. W ogóle nie panowałem nad swoim ciałem. Zdawałem się przebywać poza czasem i poza materią, w krainie nieśmiertelności i nieskończoności, gdzie wszystko jest możliwe, ale i wszystko jest obce, związane z miejscem lub z czasem, który wydawał się być czymś irracjonalnym.

Ten ogrom wiedzy poważnie mnie przeraził. Zdałem sobie sprawę z kruchości naszego świata i beznadziejności ludzkiego życia. Rozpadły się przede mną mury, zakrywające do tej pory prawdziwe oblicze demokracji i równości. Dostrzegłem we wszystkim kłamstwa i hedonistyczne dążenie do szczęścia. Zdałem sobie sprawę, że nikt nigdy niczego nie zrobi za darmo, gdyż żyjemy w cywilizacji wyścigu. Wyścigu do szczęścia, bogactwa i władzy, które deprawują wszystkich i których nie można się wyrzec...

Powoli wizje słabły i w miejsce przerażenia powróciła euforia i nieopanowany chichot. Wciąż atakowała mnie lawina myśli, wspomnień i refleksji, za którą ciężko było nadążyć.

Nagle usłyszałem dochodzący z oddali odgłos zbliżających się kroków, a po chwili lekkie szcęknięcie klamki i szmer otwieranych drzwi. Po części sparaliżowany natłokiem myśli wołałem nie otwierać oczu, w obawie, że nowe bodźce rozsądzą mi głowę.

- Matko, Zbyszek, co ty tu robisz?! – Niski, męski głos. Pytanie było najprawdopodobniej skierowane do mnie, gdyż kroki zaczęły się szybko zbliżać w moją stronę.

- Eeee... yyybyyau... - zacząłem tłumaczyć, wciąż nie umiając zapanować nad chichotem.

- Nie możesz tutaj leżeć, przecież przyjechała delegacja ze Stanów! Zaraz tutaj przyjdą... - Właściciel głosu chwycił mnie pod pachy i zaczął ciągnąć przez komnatę. – Do czego to podobne, żeby prezydent taszczył pijaków... Jakby teraz weszli dziennikarze, to by mieli niezłe używanie. Musiałeś akurat dzisiaj się tak schlać?

- Aeeeeumbnaw – zaprzeczyłem na tyle stanowczo, na ile byłem w stanie.

- Ty już lepiej nic nie mów. – powiedział zdyszany, próbując najprawdopodobniej otworzyć drzwi, jednocześnie mnie nie upuszczając. Gdy mu się w końcu udało, kontynuował – Możesz tutaj leżeć ile chcesz, tylko błagam, nie wychodź i nie szwendaj się po pałacu. Zrozumiałeś?

- Yhyy.

- To dobrze. A teraz wybaczone, ale czeka na mnie kilku bardzo ważnych ludzi.

Wyszedł pospiesznie, zamykając za sobą po cichu drzwi.

\*\*\*

Siedziałem w pustej komnacie, tak jak mnie zostawił prezydent. Starałem się ze wszystkich sił zatrzymać powoli odpływające myśli oraz utrzymać umysł w tym wspaniałym stanie lekkości i wszechwiedzy. Nieubłagane jednak działanie specyfiku, który pozwolił mi dotrzeć do świata

Stwórcy słabło i powoli wracałem do normalnego stanu.

Po pewnym czasie (mógł to być kwadrans, ale równie dobrze kilka godzin), do komnaty wrócił prezydent. Ciężko usiadł w fotelu stojącym obok mnie i przyjrzał mi się z uwagą.

- Co to do cholery miało być? – zapytał z irytacją, nie czekał jednak na odpowiedź – Piłeś?

- Nie.

- Czyli teraz przerzuciłeś się na narkotyki? Świetnie! Tylko tego mi brakowało. Pamiętasz cokolwiek?

- Nie bardzo.

- Jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia?

- Nie wiem.

- Środa. Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem.

- W Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie. Jak się nazywam?

- Nie wiem.

- Radosław Orłowski. Jestem Prezydentem Rzeczypospolitej Polski. Jak się nazywasz?

- Alb... Nie wiem. – w ostatniej chwili się poprawiłem.

- Matko, co ty brałeś? Mózg ci wyprało całkowicie... Dobrze, w takim razie od początku. – pochylił się w moją stronę, spojrzał prosto w oczy i zaczął mówić powoli, jak do małego dziecka – Nazywasz się Ryszard Bagnicki. Jesteś posłem na Sejm z ramienia KPS.

- KPS?

- Katolicka Partia Społeczna. Tworzy koalicję z Rolniczym Ruchem Solidarności i Polską Partią Narodową. Jesteście największą partią i to wy rozdajecie karty.

- A jaki mamy program?

- Taki, jaki akurat chcą wyborcy. Co miesiąc robicie sondaż i na podstawie wyników dopasowujecie swoje poglądy. Sprawdza się to bardzo dobrze i dzięki temu już w pierwszej turze zostałem prezydentem. Uprzedzam pytanie, wcześniej byłem szefem KPS.

- Jeżeli my rządzymy, to kto jest w opozycji?

- Same oszołomy. Partia Polskich Liberalów jest największa, a posłowie kreują się na intelektualistów. Potem mamy jeszcze Ruch Wolności Gospodarczej, próbujący sprywatyzować wszystko co się da i Ruch Odrodzenia Monarchii pragnący zastąpienia prezydenta królem.

- Jak to, nie mamy króla? – zapytałem zdziwiony.

- Kto ci sprzedał ten syf? Złapiemy drania i zamkniemy go na kilka lat za łapówkarstwo... Żeby takie rzeczy robić posłom Najjaśniejszej Rzeczypospolitej... A teraz idź już, bo tylko zawadzasz. Jeszcze cię zobaczą jacyś reporterzy i co będzie?

- Ale dokąd mam iść? I co mam robić?

- Nie mam pojęcia. Rób to, co każdy poseł. Baw się i używaj za państwowe pieniądze. – Radosław Orłowski roześmiał się i wyszedł z pokoju.

Nie mając większego wyboru, podążyłem za nim i po kilku minutach kluczenia korytarzami, doszliśmy do wyjścia. Prezydent uściśnął mi dłoń, poklepał po ramieniu, po czym zostawił mnie samego przy szklanych drzwiach.

Byłem mocno podenerwowany. Wszystko wyglądało bardzo nowocześnie i obco, jestem więc w przyszłości. Warszawa nadal była stolicą Wielkiego Królestwa Polskiego. Czy raczej Rzeczypospolitej Polski, jak ją nazwał Orłowski. Ciekawe tylko, czy...

- Panie Ryszardzie, nareszcie pana znalazłem – usłyszałem za swoimi plecami i szybko się odwróciłem. W moją stronę szedł młody, wysoki mężczyzna.

- My się znamy? – zapytałem.

- Paweł Wrona, pański asystent. Pan prezydent już mi powiedział, o tym... o tym wypadku, który się panu przytrafił. Proszę się o nic nie martwić, ja się wszystkim zajmę. – powiedziawszy to, zapraszającym gestem wskazał mi drzwi. Po chwili wahania ruszyłem w nieznane.

\*\*\*

Odniosłem wrażenie, że wszystko poza nazwami miast się zmieniło. Spędziłem kilka tygodni z Pawłem, który cierpliwie mi tłumaczył nawet najbardziej oczywiste rzeczy. Aby uniknąć kompromitacji, postanowiłem przez ten czas nie wychodzić z domu.

Niemal od razu pokochałem internet. Choć na początku komputer wydał mi się straszną i niezrozumiałą magiczną maszyną, wystarczyło kilka godzin z moim asystentem, by z tajemniczego wroga stał się bliskim przyjacielem. Przesiadywałem teraz godzinami przed monitorem, chłonąc wiedzę o świecie i oglądając zdjęcia Bawarii. Samochody, telewizja, samoloty, pralki, tostery, zmywarki... To wszystko było fascynujące.

Życie wydawało się być tutaj czystą przyjemnością, bez większości czasochłonnych i nieprzyjemnych obowiązków, bez długich i męczących podróży i bez smrodu odchodów zalegających w rynsztokach i zaułkach. Ludzie żyli bardzo długo, a medycy potrafili leczyć nawet najgroźniejsze choroby. No i piwo było sprzedawane w puszkach.

Zacząłem również szukać informacji o Andrzeju „Sapie” Kowskim. Okazało się, że jest pisarzem i cieszy się całkiem sporą popularnością. Nie umiałem jednak nigdzie znaleźć informacji, gdzie mieszka i jak się z nim umówić.

- Teraz nikt nie podaje swojego adresu zamieszkania – cierpliwie wyjaśnił mi Paweł. – Jeśli chcemy się o coś spytać, wysyłamy po prostu maila i po sprawie. Adresat odpowie nam wtedy, kiedy będzie miał chwilę wolnego czasu.

- Dla pewności wolałbym się z nim spotkać osobiście.

- To nie jest najlepszy pomysł – twarzą obstarwał przy swoim mój asystent.

- Dlaczego?

- Otóż widzi pan... Ma pan dosyć skrajne poglądy, a co za tym idzie, nie wszyscy darzą pana sympatią. Tak się akurat złożyło, że Kowski jest dokładnie na drugim politycznym biegunie i nie pałacie do siebie zbytnią sympatią. Szczególnie po jego ostatniej wypowiedzi...

- Co powiedział?

- Poddął w wątpliwość pańskie kompetencje...

- A dokładnie?

- No cóż, nazwał pana burakiem, idiotą i zaściankowym wieśniakiem z ciemnogrodu...

- Zatem pozostaje mail? – zapytałem zrezygnowany.

- Zatem pozostaje mail – odpowiedział Paweł podsuwając mi laptopa.

\*\*\*

Wiedząc o uprzedzeniu Kowskiego do mojego tutejszego wcielenia, postanowiłem nie wspominać o nim w mailu i podpisać się prawdziwym nazwiskiem. Pytanie tylko, czy mi uwierzy... Po licznych poprawkach udało mi się w końcu skreślić kilka zdań, wyjaśniających mój problem w możliwie najprostszy sposób:

*Wielmożny Panie Kowski!*

Komentarz [K.S.1]: Potrzebne?

*Piszę w sprawie Pana śmierci, albowiem ta jest niechybna. Nie ma od tego ucieczki. Jeszcze nie wiem, w jaki sposób, jednak z pewnością Pan zginie w najbliższym czasie. Muszę uzyskać od Pana ważne informacje. Musimy się spotkać. Liczę na szybką odpowiedź.*

*Z poważaniem  
Albert von Tannenberg*

Wcisnąłem przycisk „wyślij” i zamknąłem laptopa. Teraz pozostawało tylko czekać na reakcję.

Odpowiedź nadeszła kilka godzin później, o czym poinformował mnie zdziwiony Paweł.

- Zaproponował pan jakieś spotkanie Kowskiemu? Przecież mówiłem, że to nie jest najlepszy pomysł...

- Odpisał coś? – spytałem zniecierpliwiony.

- O dziwo... tak. – Paweł podał mi kartkę papieru, na której było wydrukowane tylko jedno zdanie.

- „Jutro o 16 na tarasie widokowym Pałacu Kultury i Nauki” – przeczytałem. – Macie taki pałac w Warszawie?

Paweł tylko westchnął teatralnie i wyszedł z biura, by zająć się ważniejszymi sprawami.

Pałac Kultury i Nauki okazał się bardzo wysoki. Za moich czasów pałace były niskie, rozłożyste i otoczone potężnymi ogrodami. Tutaj jednak inżynierowie postawili na wysokość. I tylko na nią. Budynek zdawał się być niedokończonym dziełem, brakowało jakichkolwiek zdobień, rzeźb, choćby skromnych, gargulcowatych rzygaczy. Pomyłką było też otoczenie. Zero zieleni, żadnego, choćby małego ogrodu z alejkami na spacer, tylko beton, beton i jeszcze raz beton. Arystokrata, który go zbudował musiał być niespełna rozumu.

Taras widokowy, jak mi powiedział Paweł, znajdował się na samym szczycie, skierowałem się więc do windy. Gdy otworzyły się drzwi automatyczne, moim oczom ukazała się krępa, niska kobieta siedząca na taborecie, który żadnym prawem nie mógł jej utrzymać i powinien się już dawno rozlecieć. Zajęta była czytaniem jakiejś książki i nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, wcisnęła przycisk prowadzący zapewne na samą górę. Winda ruszyła szybko, wnętrzości niepokojąco zaczęły się.

- To ma być, kurwa, jakiś żart? – warknął autentycznie rozdrażniony Kowski – Czego chcesz, Bagnicki?

- Pan chyba nie do końca rozumie...

- A co tu rozumieć? Chcesz ze mnie zrobić idiotę? Nagrasz nasze spotkanie, pošlesz to mediom i pokażesz, że twój krytycy są niespełna rozumu, z Kowskim na czele? – Stwórca ewidentnie się nakręcał.

- Może ja wytłumaczę. Otóż nie miałem wpływu na to, czyją postać...

- Dobrze, ujmę to w ten sposób: gównu mnie to obchodzi, kim jesteś, co chcesz i do czego ci to jest potrzebne. Wychodzę i mam nadzieję, że się więcej nie spotkamy. Chyba, że na sali sądowej.

Kowski odwrócił się od panoramy Warszawy, którą do tej pory uważnie obserwował i z głośnymi przekleństwami na ustach ruszył w stronę wind. Nie chcąc wzbudzać jeszcze większego zamieszania, obserwowałem dalej zakorkowane miasto, ignorując zaciekawione spojrzenia turystów.

Gdy wróciłem do biura poselskiego, Paweł wciąż tam był, odpisując na maile od ludzi, którzy wierzyli, że wystarczy się wyżalić posłowi, a świat stanie się lepszy.

**Komentarz [K.S.2]:** Teraz opis wydarzeń od otrzymania maila do spotkania na tarasie widokowym PKiN.

Wrażenia wywołane widokiem Pałacu, podróż windą (windziarka z książką!), wygląd Kowskiego.

- I co? Nic z tego? – zapytał, nie odrywając wzroku od monitora.  
- Niestety. Nic z tego. – usiadłem ciężko na krześle i zamknąłem zrezygnowany oczy.  
- Jakież pomysły? – Paweł wciąż znęcał się nad klawiaturą, tworząc zapewne kolejny elaborat o moim wzruszeniu, jakie wzbudziła tragiczna historia któregoś z wyborców.  
- Nie. Już nic nie można zrobić. A przynajmniej nic mi nie przychodzi do głowy. Musisz mi jednak pomóc w jednej rzeczy. Potrzebuję... - przerwałem na chwilę, aby nie pomylić się w nazwie składnika niezbędnego, do powrotu TAM - potrzebuję dwie tysięczne grama dietyloamidu kwasu D-lizergowego.

**Komentarz [KS3]:** A może 1mg? Bo 2mg to już jest niesamowicie duża dawka, 1mg byłby znacznie bardziej realistyczny!

Ręce Pawła zamaryły gwałtownie nad klawiaturą, pogrążając biuro w ciszy, mąconej jedynie przez cichy szmer komputera. Asystent spojrzał na mnie z szeroko otwartymi oczyma.

- Mam panu załatwić dwa miligramy LSD? – zapytał z niedowierzaniem.  
- A będzie to jakiś problem?  
- Nie, skądże. Jutro przed obradami sejmku powinienem już to mieć – odpowiedział Paweł, wracając do zapewnień o wsparciu psychicznym dla całej rodziny w zamian za głosy w następnych wyborach.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro wracam do domu.

\*\*\*

**Komentarz [KS4]:** ), zażycie w Sejmie w czasie obrad i powrót do Bożywoja.

Paweł podjechał pod apartamentowiec zgodnie z planem. Niemal całą noc spędziłem na oglądaniu Discovery, byłem więc strasznie niewyspany. Usadowiwszy się na wygodnej tylnej kanapie, rozpocząłem ciężką batalię z powiekami, które ciążyły, jak gdyby przywiązano do nich po kilka młyńskich kamieni.

- Mam to, o co pan prosił – odezwał się z niesmakiem mój asystent – Nie wiedziałem jednak, czy woli pan blottery, czy roztwór, dlatego załatwiłem obydwa.

- Blottery? – zapytałem, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.  
- Ach, zatem rozumiem, że zawsze używał pan płynnej wersji? To są po prostu kartoniki nasączone roztworem, 180µg na każdym. Znacznie wygodniejsze, niż bawienie się w odmierzanie kropeł, jednak co kto woli.

- Dobra, dawaj tą buteleczkę – perspektywa zabawy z kilkoma kolorowymi kartonikami pod czujnym okiem kamer telewizyjnych nie do końca do mnie przemawiała.

Paweł podał mi małą buteleczkę z ciemnego szkła.

- Stężenie 100µg na kroplę. Najlepiej wlać do jakiegoś alkoholu, a potem – Paweł gwizdnął dla podkreślenia efektu – odłot.

- Dobra, poradzę sobie. Jedźmy, bo się spóźnimy na obrady. – powiedziałem chowając buteleczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Usiadłem wygodnie na swoim miejscu. przyglądałem się krzątaniu stenografek, przygotowujących się do kolejnego ciężkiego dnia pracy. W końcu marszałek oficjalnie rozpoczął obrady.

Po kilkunastu minutach coś się zaczęło zmieniać. Na początku było to tylko dziwne, niczym nie potwierdzone uczucie. Chwilę później pojawiły się pierwsze zniekształcenia rzeczywistości. Niektórzy ludzie jaśnieli dziwną, fioletową poświatą, a w powietrzu płynęły leniwie trudne do opisanie, wielobarwne kształty. Również dźwięki zdawały się falować, raz przyspieszając, raz zwalniając. Przez moment cały świat był tylko wirem kolorów i dźwięków, by później znowu

**Komentarz [KS5]:** Tutaj motyw zażycia i pierwszych przeżyć

podzielić się na konkretne kształty i rzeczy.

Siedziałem nieruchomo, z głową opuszczoną bezwładnie na oparcie i chłonałem otoczenie, niezdolny do żadnego gwałtowniejszego ruchu. Stałem się jednością z bardzo jasno oświetlonym sufitem, przypominającym niekończący się tunel łączący nas z zaświatami. Stałem się jednością z kolumnami podtrzymującymi sklepienie na balkonie, będących cichym łkaniem po antycznych cywilizacjach.

Z oddali dobiegł do mnie stłumiony, głęboki pomruk, powoli przeradzający się w płomienną przemowę. Zacząłem rozróżniać pojedyncze słowa, nie mogąc jednak pojąć ich znaczenia i związku między sobą. Po chwili dźwięk stał się już czysty i wyraźny.

- Oznacza to, że ten termin został ustalony dopiero później i że został ustalony w taki sposób, iż dwa projekty dotyczące tej samej kwestii nie są rozpatrywane łącznie na tym samym posiedzeniu. Biorąc to pod uwagę, myślę, że jeżeli zajmiemy się tymi samymi sprawami jednocześnie, to takie rozwiązanie będzie lepsze i praktyczniejsze.

asasasas

Komentarz [S6]: Tutaj druga jazda

- Propozycje zmian, które zawarte są w tej ustawie, służą właśnie rozwiązaniu problemów, które mieliśmy na początku tego roku, a jak wiemy i widzimy za oknami, zima znowu nam się naprzykrza. – perorował wzburzony poseł.

Jest przecież lato. Albo nie? Zresztą co za różnica? Przecież pory roku są ulotne. Nie możemy ich zatrzymać, więc po co się nad nimi rozwodzić? Mimo wszystko dałbym sobie rękę uciąć, że jest lato...

- Nie zgadzam się ze stwierdzeniem, jakoby ustawa *Prawo prywatne międzynarodowe* miała stać się niezgodna z konstytucją ze względu, jak rozumiem, na terminy autonomiczne w stosunku do systemu prawa polskiego i na ich inne rozumienie, niż miałyby to wynikać z systemu prawa polskiego. Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem, albowiem ustawa ta stanowi część porządku prawnego Rzeczypospolitej Polskiej i jest ustawą zwykłą, a więc do jej terminologii stosuje się wszelkiego rodzaju zasady systemu prawa polskiego.

Z jednym z nas jest coś nie tak, bo nie zrozumiałem ani słowa. Ciekawe, ile czasu trwa wyćwiczenie w sobie umiejętności mówienia w sposób uczony o niczym w taki sposób, by słuchacz był przekonany, że omawiamy rzeczy kluczowe dla ludzkiej egzystencji. Tymczasem wciąż nie ustaliliśmy, czy jest lato, czy zima...

Gdzieś głęboko odezwał się niepokój, czemu ciągle jestem świadomy. Czemu siedzę ciągle w zielonym fotelu, słucham tych idiotów i naciskam na ślepo przyciski w konsoli przede mną. Czemu nie jestem znów u siebie? Obraz stał się bardziej wyraźny i miałem wrażenie, że działanie substancji ustaje.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gdzieś już słyszałem ten głos. Niski i głęboki, niespiesznie mamroczący słowa jakiejś dziwnej, pradawnej pieśni, która hipnotyzowała słuchaczy. Wypełniło mnie poczucie bezpieczeństwa, które jednak błyskawicznie prysnęło, gdy wziąłem wdech i zamiast powietrza poczułem mdlący zapach kadzideł.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się. Byłem znowu w posiadłości Bożywoja. W powietrzu latały dziwne, kolorowe fraktale, jednak był to najpewniej efekt uboczny powrotu TU. Znachor zauważył, że się obudziłem, jednak nie przerwał mruczeć pod nosem tajemniczych słów.

- Nie udało się – zacząłem ze smutkiem.

- Mylisz się. Wróciłeś, a to już pewien sukces. Ostatnio, gdy odwiedził mnie pewien bogaty

kupiec, musiałem to, co z niego zostało, zeskrobywać nożem z...

- Nie o to mi chodzi – przerwałem, nie mając ochoty na zbyt szczegółową relację. – Nie udało mi się przekonać Stwórcy, by spisał naszą historię. Nic nas już nie uratuje...

Bożywój zamyślił się, mrużąc bezwiednie niezrozumiałe słowa w różnych językach.

Zacząłem już się zastanawiać, czy nie odpłynął gdzieś daleko i zapomniał o moim istnieniu. Po kilku długich minutach zamrugał jednak szybko i spojrzał na mnie.

- Wydaje mi się, że jeszcze nie wszystko stracone – powiedział spokojnie. – Daj mi kilka dni, a powiem ci, czy mam rację. A tymczasem... czuj się jak u siebie w domu.

Niecierpliwość, z jaką czekałem na wieści od Bożywoja sprawiła, że nie umiałem wysiedzieć w miejscu. Po opuszczeniu komnaty ruszyłem labiryntem korytarzy, schodów i tarasów, błakając się bez celu i odkrywając niezliczoną liczbę pomieszczeń wypełnionych po brzegi egzotycznymi figurkami, dziwnymi narzędziami i starymi księgami. Uzdrowiciel musiał odwiedzić nawet najbardziej odległe i niedostępne miejsca, gdyż wielu przedmiotów nie mogłem w żaden sposób zidentyfikować, a czasem nawet rozpoznać materiału, z jakiego zostały wykonane.

W końcu, zmęczony długą wędrówką, usiadłem w wygodnym fotelu ustawionym pomiędzy stosami grubych książek. Zdawało mi się, że pokonałem kilka staj, mimo że wciąż znajdowałem się jednym budynkiem. Bez wątplenia było to najbardziej szalone dzieło architektury, jakie widział świat. Pogrążony w rozmyślaniach o europejskim budownictwie, zapadłem w drzemkę.

Gdy się obudziłem, zobaczyłem Bożywoja, który bacznie mnie obserwował, oparty o złamaną marmurową kolumnę, która dopełniała obrazu chaosu i niespójności, jaki panował w pomieszczeniu.

- Miałem rację – zaczął prosto z mostu – nie wszystko stracone.

- To znaczy? – spytałem, przeciągając się w fotelu.

- Wystarczy zaburzyć bieg historii, sprzeciwić się woli Stwórcy, a wtedy w pewien sposób oddzielimy się od niego, staniemy się niezależni.

- Domyślam się, że to nie będzie zbyt proste?

- To zależy. Nie znamy większości planów Stwórcy, tak więc nie możemy im przeszkodzić.

Najbardziej oczywistym rozwiązaniem byłoby przerwanie ciągu znaków wskazujących na śmierć Stwórcy.

- Zwalczyć skutek, zamiast przyczyny?

- Dokładnie.

- Ale przyczyna ciągle pozostanie, prawda? – spytałem, nie do końca pewien, czy nadążam za tokiem rozumowania Bożywoja.

- Tak. Jednakże to już nas nie będzie interesowało, prawda? – uzdrowiciel delikatnie się uśmiechnął – Przyczyną jest zbliżająca się śmierć Stwórcy. Jednak gdy przestaniemy być od niego zależni, nie będzie to już ważne, co się z nim dzieje, prawda?

- Dobrze, jednak coś mi ciągle nie daje spokoju...

- Tak?

- Skoro można tak prosto znaleźć sposób na całkowite uniezależnienie się od Stwórcy, dlaczego istnieją religie? Dlaczego ktokolwiek ma wpływ na jakikolwiek świat? Dlaczego TAM ludzie wierzą, że ich stwórca bierze czynny udział w ich życiu?

- Widzisz, Albercie, to nie jest AŻ TAK proste. Nasz świat i Stwórca są swojego rodzaju ewenementami – gdzie indziej mimo tysięcy lat badań i poszukiwań nie udało się zidentyfikować ani jednej myśli Stwórcy. Zapewne ludzie TAM potrafiliby przeszkodzić swojemu stwórcy i uwolnić się spod jego wpływu, jednak nie mają pojęcia, W CZYM mają mu przeszkodzić... Nie trudno jest wbić włócznię we wrażliwe miejsce smoka, trzeba jednak najpierw dowiedzieć się, gdzie się ono

**Komentarz [K.S.7]:** Bożywój tłumaczy, że wystarczy pokonać Polaków i tym samym zaburzymy bieg wydarzeń i ocalimy świat.

Decyzja o powrocie TAM w poszukiwaniu technologii, które pomogą w osiągnięciu celu.



znajduje.

- I my to wiemy?
- I my to wiemy. I musimy tę wiedzę wykorzystać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- I co ja mam z tobą zrobić? – głos Orłowskiego był pełen rezygnacji.
- Wowtawić wzbokoju – wymamrotałem, starając się odzyskać władzę nad ciałem pośła Bagnickiego.

- Ile razy masz jeszcze zamiar się naćpać w moim pałacu? – prezydent siedział w wysokim fotelu i patrzył na mnie z dezaprobatą. – Wynoś się stąd, jak tylko dojdiesz do siebie. Paweł czeka na ciebie przed budynkiem w samochodzie.

Radosław Orłowski wstał i wyszedł szybkim krokiem z komnaty.

Choć czas biegł TU znacznie wolniej i nie musiałem się zbyt spieszyć, nie potrafiłem ze spokojem czekać, aż nasz świat ulegnie zagładzie, dlatego gdy tylko doszedłem do siebie na tyle, by móc wstać i poruszać się chwiejnym krokiem, ruszyłem w stronę wyjścia, gdzie czekał już na mnie mój asystent. Bez słowa otworzył drzwi i delikatnie przytrzymując zaprowadził do samochodu.

Mieliśmy mnóstwo pracy. Musiałem zdobyć dane o broni, którą bylibyśmy w stanie szybko wytworzyć i skutecznie wykorzystać przeciwko siłom Królestwa Polskiego. Problemem był fakt, że świat Stwórcy dysponował znacznie bardziej zaawansowaną techniką, znacznie wykraczającą poza nasze możliwości. Dlatego też jedyna nadzieja była w historii i uzbrojeniu sprzed kilku wieków.

**Komentarz [K.S.8]:** Księga się kończy powrotem Alberta TU z niezbędnymi informacjami.

Koniec książki drugiej

## KSIĘGA TRZECIA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niski i głęboki głos Bożywoja, wciąż mamroczącego w niezrozumiałym języku dotarł do mnie zza ciężkiej i grubej kurtyny oddzielającej moje zmysły od świata zewnętrznego. Chwilę później poczułem też znajomy, ciężki zapach kadzideł, których uzdrowiciel z uporem maniaka nadużywał. Byłem już zmęczony tymi wszystkimi podróżami TAM. Fraktale stały się jakby bardziej natrętne – miały jaskrawsze kolory i zmniejszały teraz znacznie pole widzenia.

Otworzyłem ostrożnie oczy. Leżałem na kilku poduszkach w dobrze znanej mi już sali. Bożywój ciągle siedział w tym samym miejscu i mamrotał pod nosem. Wzdłuż ścian w bezruchu siedzieli służący i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie są już martwi od ciągłego wdychania mdlących kadzidełek.

- Udało się? – Bożywój musiał zauważyć, że się obudziłem, gdyż przerwał mamrotanie i bacznie mi się przyglądał.

- Taaak... Chyba tak. Trochę TAM namieszałem... - przed oczyma stanęły mi obrazy arestowania, ogromnego chaosu, brudnej łazienki...

- Nic nie szkodzi, poradzą sobie. – odpowiedział spokojnie Bożywój. Zamyślił się chwilę, po czym dodał – Zresztą nawet jeśli nie, to nas to i tak już nie dotyczy.

- Też racja.

- Zatem jeśli wszystko się udało, nie będę cię już dłużej zatrzymywał – uzdrowiciel delikatnym ruchem ręki wskazał mi drzwi.

Powoli wstałem, rozmasowując zdrętwiałe nogi. Bolała mnie głowa, ale poza tym chyba wszystko było ze mną w porządku. Strzeliłem palcami, przeciągnąłem

\*\*\*

Ze wsi Rudoltowi wyruszyłem po krótkim posiłku, gdyż byłem bardzo głodny. Jak się okazało, upłynęło TU zaledwie kilkanaście godzin od momentu wypicia mikstury chłopca Bożywoja, choć przebywałem TAM kilka tygodni. Była to dobra wiadomość, gdyż nie byłem pewien, czy ktokolwiek trudziłby się, żeby mnie nakarmić, albo napoić, gdy byłem w stanie śpiączki i nie reagowałem na żadne bodźce. Najprawdopodobniej umarłbym z pragnienia i na dobre utknął w ciele angielskiej królowej, czego nie życzyłbym najgorszym wrogom – co prawda żyła, jak... królowa, jednak starość i ogrom obowiązków sprawiał, że niemal nie dostrzegałem wygód i luksusów, a już na pewno nie miałem czasu, by z nich korzystać.

Gdy wyszedłem z chaty chłopca Bożywoja, było wczesne przedpołudnie. Odszukałem wóz, którym przyjechałem. Woźnica spał rozwalony w środku, przewodnik najwyraźniej wrócił do Krakowa. Otworzyłem drzwiczki z powozu i wyciągnąłem ciągle śpiącego właściciela na zewnątrz. Po chwili doszedł do siebie, uklonił mi się nisko mrucząc coś w przepraszającym tonie i szybko wskoczył na kozioł i spytał, dokąd jedziemy.

Jeszcze przed wyruszeniem TAM zdecydowałem, że wracać będę lądem, aż do północnych wybrzeży Francji, by następnie przepłynąć kanał La Manche i dostać się do Anglii. Wyjawiłem cel podróży woźnicy, po czym wygodnie usadowiłem się na kanapie, rozmyślając o przyszłości świata.

W trakcie podróży rozglądałem się za zdolnymi rusznikarzami, którzy byliby w stanie stworzyć dla mnie broń według projektu, który znalazłem na Wikipedii. Sprawa nie była prosta, gdyż takie karabiny pojawiły się TAM w czasach dużo bardziej zaawansowanych technicznie, dlatego prowadziłem poszukiwania wśród ludzi, którzy byli najlepszymi rusznikarzami na świecie od samego jego początku. Wśród Niemców.

Pewnego wieczora dojechałem do Oberndorf am Neckar, małej miejsciny na terenach

byłego Królestwa Wirtembergii, sojusznika Bawarii w niemal wszystkich wyprawach wojennych. Nad miejscowością górował klasztor prowadzony przez Zakon Świętego Augustyna, który, jak się dowiedziałem, niedawno odrestaurowano, dodając nieco klasycystycznej nutki do tej romańsko – barokowej budowli.

Jak zwykle siadłem w karczmie i kazałem woźnicy rozpuścić plotki, że szukam zdolnych rusznikarzy. Powoli zbliżałem się już do Francji i traciłem nadzieję, że uda mi się znaleźć kogoś zdolnego wcielić mój plan w życie. Powinienem wybrać coś prostszego, jednak wtedy nie mogłbym być pewny sukcesu... Cierpliwie wysłuchując moich obaw, siódmy kufel piwa niespiesznie pustoszał, gdy nagle na stół padł cień. Podniosłem głowę. Dwóch młodych mężczyzn.

- Pan Albert von Tannenberg, jak mniemam – zagał ten nieco starszy – Nazywam się Mauser. Wilhelm Mauser. A to mój brat, Paul.

\*\*\*

Do Londynu dotarliśmy bez większych przeszkód. Nie miałem ani chwili do stracenia, wyjaśniałem więc dwóm młodym rusznikarzom moje plany, a oni skrzętnie notowali i rysowali, by jak najwierniej oddać to, co miało się okazać wybawieniem dla całego świata spod jarzma Wielkiego Królestwa Polskiego. Najwięcej emocji wzbudziła w nich nazwa, którą mieli nadać tak przełomowej konstrukcji. Po burzliwej dyskusji doszli do wniosku, że najwłaściwszą będzie Karabiner 98k. Od „98 królewskich”, których to ponoć miał spokojnie zastrzelić każdy żołnierz wyposażony w ich dzieło.

Gdy prace nad karabinem szły pełną parą, zwołałem wszystkich niezaangażowanych w nie naukowców będących w naszych szeregach i przedstawiłem im pozostałe innowacje, które podglądałem TAM. Z mnóstwa konstrukcji, jakie zobaczyłem na Wikipedii wybrałem te, które były, przynajmniej moim zdaniem, możliwe do skonstruowania. Maszyna parowa i prototypowe silniki spalinowe, elektryczność, mundury maskujące, opiekacz do tostów... Tyle możliwości, a tak mało czasu...

Po przekazaniu wszystkich pomysłów na wynalazki, udałem się do swojej komnaty. Położyłem się i zacząłem rozmyślać o przyszłości naszego świata i roli, jaką odegra w tym Bawaria. Królestwo Bawarii. Szarże, podboje, zwycięski rajd na Kraków i w końcu wolność... Rozmarzony zapadłem w głęboki, radosny sen.

\*\*\*

Po kilku tygodniach względnego nieróbstwa polegającego głównie na degustowaniu tostów z coraz to bardziej zaawansowanych opiekaczy i nieudanych próbach podglądnięcia braci Mauserów, którzy, jak lwice swoje młode, strzegli swojego laboratorium, nadszedł przełomowy dzień. Dzień prezentacji karabinu.

Postanowiliśmy zebrać się poza Londynem, na okolicznych łąkach, tak by nie wyrządzić zbyt wielu szkód. Praktycznie wszyscy członkowie Gildii zebrali się na błoniach, żeby zobaczyć pierwszy strzał z nowej broni. Gdy pojawiłem się na pagórku, na którym zebrali się najważniejsi ludzie, zapanowała całkowita cisza. Nikt się nie odzywał, jakby bojąc się, że nieopatrzna plotką, czy nieostrożnie rzuconym komentarzem mogą zniweczyć tygodnie pracy genialnych rusznikarzy.

Wilhelm podszedł do mnie powoli i podał mi karabin zrobiony specjalnie według moich wskazówek. Miał kolbę z hebanu, a na górze zamontowaną lunetę, która pozwalała, przynajmniej teoretycznie, oddać celny strzał nawet na 1200 metrów.

Zważyłem broń w rękę i spojrzałem na jej twórców, braci Mauserów, którzy zachęcająco wskazali w kierunku kukły ustawionej tak daleko, że ledwo ją dostrzegałem. Podniosłem karabin,

zbliżyłem oko do lunety i spokojnie się rozejrzałem. Jest. Słomiana kukła w mundurze polskiego muszkietera z wiadrem w miejscu głowy. Wycelowałem i pociągnąłem za spust. Odgłos, niczym uderzenie w dzwon, było słychać w całej okolicy. Przeładowałem, choć nie było to potrzebne.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Masowa produkcja karabinów zaczęła się kilka dni później. Podstawowa wersja była bez lunety i z kolbą z drzewa czereśniowego, co znacznie obniżało koszty produkcji, które były bardzo ważne przy tak dużej ilości.

Wstępnie planowaliśmy wyrób około 10 000 sztuk podstawowych oraz kilku wyborowych dla najlepszych strzelców, których zadaniem będzie znajdowanie i eliminowanie dowódców oddziałów wroga. To powinno wprowadzić dostatecznie duży chaos, by nasza niezdyscyplinowana armia mogła luźnym i niezgrabnym szykiem podreptać w stronę stanowisk wroga i następnie je zdobyć. A gdy wygramy już wojnę, trzeba będzie wynająć zdolnego skrybę, który ujmie to wszystko w piękne słowa. Ot, typowa historia zwycięzców.

Największy kłopot mieliśmy z amunicją, której potrzebowaliśmy w ogromnych ilościach, a której produkcja wciąż szła nam dosyć powoli. Przekonaliśmy angielskiego króla, by nakazał części rzemieślników, znających się choć odrobinę na metalurgii, zająć się naszym problem i pomoc przy produkcji. Dzięki temu arsenały zaczęły zapełniać się dużo szybciej.

Dwa miesiące później wszystko wskazywało na to, że jesteśmy gotowi. 10 000 żołnierzy potrafiących w miarę sprawnie obsługiwać się karabinami i oddawać umiarkowanie celne strzały oraz 50 strzelców, którzy trafiali do celu z tak dużych dystansów, że ofiary umierały na długo nim dotarł do nich huk wystrzału, powinno wystarczyć do pokonania wojsk Wielkiego Królestwa Polskiego.

Jako przywódca najbardziej wpływowej instytucji w jednym z niewielu suwerennych krajów w Europie byłem naturalnym kandydatem na naczelnego dowódcę. Bez fałszywej skromności postanowiłem przyjąć to stanowisko, co wiązało się ze znacznym zwiększeniem pensji, i rozpocząć działania wojenne.

Podzieliłem naszą armię na dwa oddziały, które miały stworzyć dwa fronty – zachodni i północny. Pierwszy zaatakuję od strony Francji, a drugi wyląduje w Gdańsku. W obu przypadkach żołnierze będą mieli za zadanie jak najszybciej opanować najważniejsze miasta, zapewnić w nich bezpieczeństwo i niezwłocznie ruszać dalej, w kierunku Krakowa.

Kilka kilometrów przed stolicą obydwie armie spotkają się, utworzą ogromne półkole i ruszą do szturm. Po kilku dniach intensywnego oblężenia miasto upadnie, a tym samym nasz świat zostanie oczyszczony z tej polskiej zarazy. Ja w tym czasie, w pięknej, czarnej szacie obszywanej srebrem, wbiegnę na Wawel i zatknę tam flagę Królestwa Bawarii, po czym poślubię piękną polską królową, Marię Radziwiłównę. Takie przynajmniej miałem plany.

Postanowiłem wyruszyć z oddziałem zachodnim, gdyż droga morska po ostatnim razie obrzydła mi całkowicie. Tutaj przynajmniej coś się działo. Miałem ponadto stały kontakt z mieszkańcami. No i najważniejsze – będę na czele wojsk wyzwalających Królestwo Bawarii.

Przeprawiliśmy się przez kanał La Manche i równym tempem ruszyliśmy prosto na wschód. Ludzie witali nas przyjaźnie i sprawiali wrażenie, jak gdyby czekali na nas od dawna. Była też mroczna strona tej gościnności – byliśmy witani w każdej większej miejscowości tak serdecznie, że z

nadmiaru lokalnych wypieków i, rzecz jasna, trunków, najczęściej musieliśmy odpoczywać kilka dni, oficjalnie „pomagając lokalnej ludności w ustanowieniu tymczasowej władzy oraz zaprowadzeniu porządku”. Żywot żołnierza jest naprawdę ciężki...

Ku naszemu zaskoczeniu nie spotkaliśmy żadnych posterunków czy garnizonów na naszej drodze, a pojedyncze patrole, o ile takowe były, skutecznie się przed nami ukrywały, mając świadomość, że nie są w stanie stawić żadnego oporu całej armii. Wyglądało na to, że nie spodziewano się, że znajdzie się szaleniec gotów podnieść rękę na *najczystszej krwi Słowian*, jak się określali Polacy.

\*\*\*

Im bliżej pierwotnych terenów Wielkiego Królestwa Polskiego, tym atmosfera stawała się cięższa. Ludzie, choć nadal przyjaźni, nie okazywali swoich uczuć aż tak wylewnie. Widać było, że wpływy Krakowa z każdym kilometrem w głąb lądu są coraz silniejsze i ludzie żyją w strachu o własne życie.

Zaczęliśmy też mijać opuszczone garnizony i puste arsenały. Najwidoczniej dowódcy dostali rozkaz wycofania się bliżej stolicy i przygotowania się do stawienia oporu.

Znacznie gorsze wieści docierały do mnie z północnego frontu. Jako że żołnierze wylądowali tam od razu w sercu wielkiego imperium, napotkali zdecydowany opór ludności cywilnej i silne oddziały polskich muszkieterów. Choć mieli do pokonania znacznie mniejszą odległość, stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że to nasza armia dotrze pierwsza do Krakowa i będzie musiała czekać na wsparcie idące z północy i walczące o każdy metr ziemi.

Póki co nikt nie wiedział, gdzie podziewa się mityczna husaria, która miażdżyła wszystko i wszystkich na swojej drodze, wszystkie informacje z północy dotyczyły jedynie zwykłych oddziałów zbrojnych. Wyglądało na to, że nawet husarzy wycofali się w pobliże Krakowa, a Władysław V Zdobywca szykuje się do ostatecznego starcia, w którym będzie chciał roznieść nas w pył.

Zatrzymaliśmy się na kilka dni w Augsburgu, aby dać odpocząć koniom i ludziom oraz wysłać więcej szpiegów. Sytuacja stawała się powoli niepokojąca i wręcz musieliśmy lada dzień natknąć się na jakiś polski oddział.

Pierwsze wieści o polskich wojskach pojawiły się, gdy siedziałem w gospodzie z pozostałymi oficerami. Lokal był w samym centrum miasta, w jednej z bogatych kamienic i pretendował do miana ekskluzywnego. Urządziliśmy w nim sztab dowodzenia i choć początkowo właściciel narzekał, że wojna wojną, ale stali klienci gdzieś pić muszą, to odpowiednio ciężka sakiewka załatwiła sprawę.

- Wielki Mistrzu, namierzyliśmy siły Władysława – usłyszałem głos, gdy duszkiem dopijałem kufel piwa. Zrobiłem ostatni łyk i z hukiem odstawiłem naczynie na stół. Posłańcem był niski i niesamowicie szczupły chłopak o bystrych niebieskich oczach i kruczoczarnych włosach.

- Słucham zatem – powiedziałem, dając znak barmanowi, by przyniósł kolejne piwo.

- Potężna armia zebrała się w Monachium. Podobno ściągnęli tam wszystkie patrole i garnizony z podbitych terenów na zachód od Krakowa. Od kilku dni ćwiczą na polach otaczających miasto i przygotowują się do wielkiej bitwy.

- Potężna armia, mówisz? Ilu ich może być? – zapytałem z nadzieją, że chłopak potrafi liczyć, albo chociaż zna liczby większe od dziesięciu.

- Dużo. Bardzo dużo. 15 baonów muszkieterów i 3 baony pikinierów.

- Pikinierów? Na Boga, po cóż im pikinierzy? To chyba ostatni pikinierzy w Europie!

- Widać brakło im muszkietów, panie.

- Dobrze mówisz dzieciaku! – zawołał jeden z oficerów, paru innych zawtórowało mu

śmiechem. – Widać szlachcice wszystko przejedli i armia nie ma już czym strzelać! Będzie zabawa z tymi owcojebcami, oj będzie!

- Wyrażać mi się tu, to nie obora! – powiedziałem nieco zirytowany poziomem intelektualnym kadry oficerskiej. – Dziękuję chłopcze, możesz odejść. A teraz pijmy szybko, bo bitwa coraz bliżej!

\*\*\*

Podobno największą zmorą każdej armii są braki w zaopatrzeniu. Zaszczytne drugie miejsce zajmuje w rankingu miesięcznika *Młody generał* dyzenteria, a tuż za nią jest kiła. Jeśli jednak ktoś spytałby żołnierzy, wszyscy jednogłośnie stwierdziliby, że głównym utrapieniem jest *veisalgia*. *Katzenjammer*. Kac.

Wszyscy zachorowaliśmy na tą przebiegłą chorobę. Oficerowie, szeregowcy, medycy. Cała pięcioletnia armia. Wypracowaliśmy oficjalne stanowisko dowództwa, które głosiło, że wraz z jednostkami wywiadowczymi dosypały czegoś do piwa.

Wymarsz z Augsburga w stronę Monachium został przełożony ze świtu na południe. Również zdecydowanie zbyt głośnym biciem dzwonów kościelnych, kolumna cierpiących ludzi wymaszerowała w stronę pierwszej poważnej bitwy w tej wojnie.

Od strony Monachium ciągnęła się kolumna przerażonych kupców, szlachciców, a nawet chłopów. Wieści o zbliżającej się do miasta armii musiały wywołać popłoch – ludzie woleli nie ryzykować i zawczasu wyjechać do rodziny, albo gdziekolwiek indziej, aby uniknąć zabłąkanych kul, albo rozochoconych wygranej żołnierzy.

Trudno było ocenić, jak byli do nas nastawieni. Większość pewnie z radością przyjmowała fakt, że już niedługo może się skończyć polska okupacja, narzucanie języka i palenie niemieckich książek. Jednak z oczu innych dało się wyczytać zmęczenie tym ciągłym uciekaniem, a to przed jedną armią, a to przed drugą, ciągłe decyzje, po czyjej stronie się opowiedzieć, ciągły strach o swoją przyszłość i o to, co się mówi na głos. Dla nich lepsza byłaby nawet ta polska okupacja, o ile byłaby stabilna, monotonna, sprawiająca pozory bezpieczeństwa i spokoju.

Najbardziej wrogo do nas nastawieni byli kupcy. Co chwilę dało się słyszeć złorzeczenia pod nosem płynące z mijających nas wozów. A to walutę zmieniają, a to granice zamykają, a to tym handlować nie można, a to tym można, a to ceny podnoszą, a to podatki od podatków wprowadzają... Trzeba było przyznać, że nie mieli oni ostatnio łatwego życia.

Planowałem zrobić jeden postój w drodze do Monachium, tak by dotrzeć na pole bitwy wczesnym popołudniem. Choć poruszaliśmy się stosunkowo szybko i nie próbowaliśmy ukrywać swojej obecności, raczej nie obawiałem się nagłego ataku ze strony wojsk Władysława. Skoro pozwolił nam przejść niemal pół Europy, to dlaczego miałby nagle zmienić taktykę? Pewnie zabarykaduje się w mieście i będzie starał jak najdłużej zatrzymać nas w miejscu.

Byłem już zmęczony tą całą podróżą, która odbywała się w żółtym tempie. Co prawda wszyscy oficerowie mieli konie, i tak musieli się wlec w tempie wozów, najczęściej zarekwirowanych chłopom, na których poruszała się piechota. Szczerze mówiąc mam wrażenie, że na własnych nogach żołnierze byliby w stanie poruszać się znacznie szybciej. Spora część koni i wołów była już stara, albo okropnie wychudzona, więc uciągnięcie wozu ściśle wypełnionego żołnierzami i sprzętem było dla nich nie lada wyzwaniem.

Zmierch spotkał nas w pobliżu miasteczka Maisach. Chociaż miasteczko to może nieco zbyt wiele powiedziane. Całość zabudowań składała się z gospody i kilku posiadłości zubożałej szlachty luźno rozrzuconych wzdłuż traktu i kilkunastu nędznych chałup kawałek dalej. Słońce jednak już zaszło, a my byliśmy zmęczeni, więc byliśmy w stanie stodołę nazwać stolicą apostolską, byle tylko

móc się położyć i odespać pijaństwa poprzedniej nocy.

Właściciel gospody chyba nie zakładał, że ktokolwiek się tu zatrzyma, bo wewnątrz składało się z kilku ław i małego baru. Nie było też łóżek do wynajęcia. Nie mieliśmy więc większego wyboru i rozłożyliśmy się razem z szeregowcami na łące nieopodal. Rozłożyłem koc, położyłem na nim siodło i położyłem się na tym zaimprovizowanym madejowym łożu. Powietrze było typowe dla jesiennego wieczoru – choć czuć jeszcze było ciepło dnia, mroźne podmuchy przypominały o nieuchronnie zbliżającej się zimie. Opatuliłem się szczelnie płaszczem, zamknąłem oczy i zasnąłem, rozmyślając o jutrzejszej bitwie.

\*\*\*

Byliśmy w odległości niecałych 3 godzin szybkiego marszu od Monachium, chociaż w naszym przypadku „szybki marsz” polegał na powolnym dreptaniu w tempie najwolniejszych wołów. Chcąc nie chcąc, zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy w drogę niedługo po świcie.

Spodziewałem się, że jeśli w ogóle wojska Władysława wyjdą poza miejskie mury, to tylko na przylegającą do nich równinę, by pozostawić sobie możliwość cofnięcia się i zacieklej obrony miasta. Dlatego też nie wysyłałem już zwiadowców we wszystkich kierunkach, aby przynajmniej oczekiwanie na ich raporty nie opóźniało naszego marszu.

Nagle usłyszałem jakieś krzyki i poruszenie na przedzie kolumny. Podniosłem głowę i spojrzałem w tamtym kierunku. W moją stronę galopował jeden z oficerów i żywo gestykulował, jednak nie mogłem jeszcze usłyszeć, jaką wieść niesie.

- Są! Są! Wojska wroga w zasięgu wzroku! – dosłyszałem w końcu.

- Ilu? – krzyknąłem, nie czekając, aż oficer zbliży się dostatecznie, by prowadzić normalną rozmowę.

- Wszyscy! Całe cholerne wojsko z frontu zachodniego – odkrzyknął tamten.

- Gdzie jesteście? – spytałem się jednego z generałów jadących u mojego boku.

- Tamto miasteczko to Lochhausen – wojskowy wskazał na niewielką grupkę zabudowań ze skromną wieżą kościelną pośrodku.

- Dobrze. Każ przygotować się ludziom. Dziś zwyciężymy pod Lochhausen.

Po lewej stronie traktu, czyli od północy, rozciągał się w pewnej odległości od drogi jedyny w zasięgu wzroku las, który pewnie niebawem podzielił ponury los swoich pobratymców i zostanie wycięty, by odziany w brudne i podarte szmaty chłop mógł zasiał dla swojego pana jeszcze więcej pszenicy i sprawić, by był on jeszcze bogatszy i jeszcze bardziej skąpy.

Po prawej stronie znajdowało się miasteczko Lochhausen, o którym, poza wspomnieniem faktu istnienia, nie można nic więcej powiedzieć. Dużo ciekawszy widok był widok przed nami, na rozległej równinie, poprzecinanej polami i pastwiskami, która ciągnęła się aż do odległego o kilka kilometrów Monachium. Armia Władysława V stała w trzech szeregach, rozciągnięta w lekkim łuku. Byli to głównie muszkieterzy w liczbie około 13 000, wokół nich kręciło mniej więcej 2000 pikinierów, którzy mieli ich osłaniać na wypadek naszej szarży. Choć polskie muszkiety były już wyposażone w bagnety, najwidoczniej brakło czasu na przekwalifikowanie pikinierów na nowszą i bardziej zabójczą formację.

Polacy mieli zatem sporą przewagę liczebną nad naszym stosunkowo skromnym, liczącym 5000 żołnierzy oddziałem, jednak nie obawiałem się zbytnio. W końcu oni mogą strzelić raz, a my pięć.

Zapowiadała się bitwa w klasycznym stylu, na równym terenie, pomiędzy ludźmi ustawionymi w równe rzędy i kolumny. Być może Juliusz Cezar i Aleksander Wielki byliby odrobinę zaskoczeni bronią palną, jednak cała reszta od ich czasów nie uległa zbyt wielkim zmianom.



Sprawa wyglądała na mało skomplikowaną. Stajemy naprzeciwko siebie. Polacy strzelają, trafiając kilku naszych, ze swoich prymitywnych muszkietów. Następnie strzelamy my i zabijamy 5000 ich żołnierzy. Kiedy oni zaczną bawić się prochem, wyciorami i kulami, moi żołnierze w ciągu niecałej sekundy przeładowują karabiny, przykładają je do oczu i znów pociągają za spust.

Powoli nasza kolumna pokonywała delikatne podejście i rozlewała się na równym terenie. Polacy czekali w bezruchu i obserwowali nas, szacując liczebność swoich przeciwników. Pewnie ich szpiegdy zdążyli już poinformować dowództwo o każdym najmniejszym szczególe, łącznie z kolorem guzików na mundurach, zawsze jednak pozostawała nutka niepewności, czy przypadkiem jakimś sposobem nie maskujemy swoich ludzi.

Wraz ze strażą przyboczną zająłem miejsce na tyłach, mniej więcej w połowie szeregu. Choć większość przykładnych wodzów stało w pierwszym szeregu, jednak w erze broni palnej byłoby to skrajną głupotą – muszkietrzy strzelali na oślep i ani odwaga, ani wybitne umiejętności, nie dawały żadnej gwarancji, że nie zostaniemy trafieni przypadkową kulą wystrzeloną przez jakiegoś młokosa z zamkniętymi oczami.

Po prawej stronie w odległości kilkunastu metrów siedziała przed chałupą cała rodzina chłopska – ojciec, matka i siedmioro nieziemsko brudnych dzieci, patrzących na nas wylupiastymi oczami. Siedzieli w całkowitym bezruchu, jedynie ojciec leniwie skubał prażoną kukurydzę. Drugi raz takiej bitwy pewnie już w swoim życiu nie zobaczę.

Staliśmy w maksymalnej odległości, z jakiej można było prowadzić ostrzał z muszkietów. Specjalnie tak się ustawiliśmy, by sprowokować salwę, a jednocześnie nie obawiać się zbyt dużych strat w naszych szeregach. Sytuacja przeciwników kształtowała się mniej różowo z racji, że nasze karabiny były w stanie bez trudu osiągnąć każdego z butnych i pewnych siebie Polaków broniących Monachium.

- Czekamy aż strzelą, potem robimy masakrę – powiedziałem do jednego z oficerów, który szybko oddalił się w kierunku kolejnych dowódców, aby przekazać im rozkazy. Obserwowałem te dwie armie stojące naprzeciwko siebie i cały czas nie potrafiłem zrozumieć, gdzie jest ta mityczna husaria zdolna złamać każdą formację, bez względu na jej liczebność i uzbrojenie. Co ty planujesz Władysławie?

Od strony miasta dobiegł mnie głośny okrzyk. Spojrzałem tam i zobaczyłem, jak muszkietierowie podnoszą broń i stają na szeroko rozstawionych nogach.

- Przygotować się! – ryknąłem. Zabawę czas zacząć.

Nastała niesamowita cisza. Tak, jakby wszyscy, ponad 20 000 ludzi, wstrzymali oddech i zamarli w nerwowym oczekiwaniu. Ptaki przestały śpiewać i nie wiał nawet najmniejszy wietrzyk. Jedyne dźwięki, jakie słyszałem, to chrupanie i mlaskanie chłopca siedzącego przed swoją chatą.

- OGNIA! – usłyszałem od strony wojsk Wielkiego Królestwa Polskiego.

Rozległ się niesamowity huk, gdy 13 000 muszkietów skierowanych w naszą stronę wystrzeliło jednocześnie. Ułamek sekundy później zawtórowało im 5000 karabinów konstrukcji braci Mauserów.

- Mistrzu, byłoby wysoce wskazane, abyś spojrzał w lewo – usłyszałem ryk jednego z generałów, nachylającego się w moim kierunku i starającego się przekrzyczeć bitewny chaos.

Spojrzałem i zobaczyłem oddział polskiej husarii galopujący w dzikiej szarży w moim kierunku. Musieli schować się w tym nieszczęsnym lesku i wypaść z niego tuż za naszą armią walczącą z niedobitkami muszkietierów pod Lochhausen. To była pierwsza nasza większa bitwa. I pierwsza okazja, żeby zostać rozniesionym na kopianach Jeźdźców Apokalipsy, jak ich potocznie nazywano od Rosji po Francję.

W straży przybocznej znajdowało się 50 doświadczonych żołnierzy oraz pięciu oficerów z

karabinami wyposażonymi w lunety. Nie była to imponująca gwardia, szczególnie w zestawieniu z pięcioma szwadronami ciężkozbrojnej jazdy wyposażonej w długie, drążone w środku kopie, które były lekkie, mocne i precyzyjne. Słowem: mordercze. Dodatkowo, po obu stronach siodła, zwisały pistolety, które co prawda z kilku metrów dawały większe szanse na postrzelenie samego siebie, niż trafienie do celu, jednak w zwarcu były równie skuteczne, jak kula armatnia – jakby od niechcenia rozsadały czaszki, oślepiały, ogłuszały i przebijały na wylot klatki piersiowe. Jedynym pocieszeniem mogło być to, że były jednostrzałowe.

Tak wyposażona kawaleria była gotowa zmieść wszystko, co tylko napotka na swojej drodze, bez względu, czy jest to oddział muszkietierów, lekka jazda, czy pikinierzy. Nikt jednak z wyżej wymienionych nie trzymał w dłoniach czereśniowej kolby karabinu braci Mauserów. I w tym była nasza szansa.

Każdy żołnierz był w stanie wystrzelać cały magazynek, czyli pięć naboí, i przeładować w ciągu minuty, trafiając przy tym nad wyraz celnie na dystansie kilkuset metrów. Daje nam to 250 kul wystrzelonych w czasie 60 sekund, w których husarz przebywa nie więcej niż 600 metrów. Sytuacja nadal była beznadziejna, bo nawet gdyby oddział husarii uszczuplił się o 250 szlachciców, i tak miałby nad nami ponad dwukrotną przewagę. A w zwarcu nie mieliśmy najmniejszych szans.

W tym przypadku lunety bardziej przeszkadzały niż pomagały, gdyż zmuszały do ładowania pocisków pojedynczo. Wartość bojowa oficerów była zatem zauważalnie niższa od zwykłych szeregowych, chociaż nie robiło to większej różnicy.

Nie było już więcej czasu na myślenie. Wycelowiałem dokładnie w głowę husarza jadącego w pierwszym szeregu, znajdującym się około 800 metrów od nas i pociągnął za spust. Upadł w tej samej chwili, jednak jego towarzysze zdawali się nie zwracać na to uwagi. Jakiegokolwiek działania wydawały się teraz zupełnie bezcelowe, gdyż i tak byliśmy już skończeni. Przecież husarii nie da się powstrzymać.

Jeźdźcy była coraz bliżej nas, mogliśmy już dokładnie policzyć łuski na karacnach jeźdźców z pierwszego rzędu.

Równe 857.

Ziemia zaczęła się trząść. Moim ludziom serca waliły jak oszalałe, z trudem utrzymywali karabiny w bezruchu. Palce wbijały się bezwiednie w czereśniową kolbę, w szeroko otwartych oczach odbijał się widok nadjeżdżającej śmierci.

Stało się jasne, że będziemy kolejnymi szczęśliwcami na długiej liście stratowanych przez kwiat polskiej kawalerii. Czasu zostało nam jeszcze tylko na ostatni głębszy wdech.

Czekałem na uderzenie. Szybkie, zdecydowane, rozrywające, ostatnie. Słyszałem już oddech koni i wizg proporców na końcach kopii. Triumfalne okrzyki po polsku. Wszystkie niecenzuralne. Jeszcze chwila...

Nagle rozległ się potężny huk, niczym wybuch arsenału. Poczułem, jak z wielkim impetem uderza mnie coś ciężkiego, metalowego i dużego. Upadłem na ziemię tracąc przytomność.

\*\*\*

Otworzyłem oczy. Wokół leżało kilkaset martwych koni i jeźdźców. Wszystko w jednej wielkiej kałuży krwi. Obok mnie siedzieli zszokowani oficerowie i żołnierze ze straży przybocznej. Zginął tylko jeden. Przede mną ktoś stanął. Podniosłem wzrok.

- Ale *Gemetzel* szefie, nie? Myśleli, że już was mają. *Donnerwetter!* My też! Ale jak, by ich śnieg spalił, jeden z drugim się nie wgryzą w glebę! - wrzeszczał rozentuzjzmowany Paul – Ma to caczusko kopa, nie?

- Zostaw go, nie widzisz, że w szoku? - starał się go uspokoić drugi Mauser, Wilhelm – Toż to

go ledwo co nie nabili. Mielicie szczęście, nie ma co. Ustrzeliliśmy tych *Kavallerie* dosłownie metr przed wami.

- Dobrze, że się w porę odwróciliśmy i zawołaliśmy chłopaków...
- Powiedz nam tylko, Albert, czemu, *du Trottel*, nie użyłeś magii?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wpierw ujrzelśmy Wawel, a później całą stolicę: lśniąca w słońcu niczym mityczne złote miasto. Oblężone mityczne złote miasto. Jakimś cudem front północny przemieszczał się szybciej od naszego i dotarł do Krakowa, jak donieśli mi gońcy, dwa dni przed nami.

Po bitwie pod Monachium, gdy zmasakrowaliśmy kwiat polskiej szlachty i dobiliśmy resztki muszkieterów znajdujących się na południu kraju, droga do Krakowa była wręcz nudna. Władysław V zdecydował się na koncentrację wojsk w dwóch głównych punktach, po jednym na każdy front. Najwidoczniej czuł się tak pewny siebie, że nawet nie zorganizował żadnych zasadzek. Po przełamaniu oporu pod Monachium dalsza droga przebiegała znowu bez przeszkód.

Znacznie ciekawszą drogę przebyli nasi towarzysze idący od północy. Choć musieli przejść tylko od Gdańska do Krakowa, byli zmuszeni walczyć o każdy kawałek ziemi – jak nie z małymi oddziałami kryjącymi się po lasach, to z lokalną ludnością, która nie raz próbowała nocą spalić obozowisko, czy stawiała opór przy zajmowaniu miast.

Jednak i oni aż do bitwy pod Odrzywołem, która z pewnością trafi do historii, nie spotkali się w polu z husarią. To była decydująca bitwa w całej wojnie, gdyż to właśnie tam pojawili się praktycznie wszyscy husarze (poza tymi kilkoma szwadronami, które próbowały nas zaskoczyć). Poległo wtedy 119 naszych żołnierzy i 11662 Polaków – dokładnie tyle, ile przewidywali bracia Mauserowie. 98 na 1. Bitwa trwała niecałą godzinę i zmiotła z powierzchni ziemi całą armię, jaką jeszcze dysponowało Wielkie Królestwo Polskie.

Teraz, gdy już wymieniliśmy się informacjami o przebiegu naszych kampanii, podjęliśmy temat szturm na Kraków. Polacy bez przerwy stawiali na murach, chcąc ustawić działa lub spróbować nas osiągnąć z muszkietów, warto było więc skorzystać z naszych karabinów wyposażonych w lunety. Następnie, gdy zostanie tylko garstka obrońców, wystarczy zapukać do bram, by powitano nas jak bogatego wujka przyjeżdżającego na święta.

Plan sprawdzał się wyśmienicie. Po niecałym tygodniu załoga uszczupliła się o prawie 200 obrońców, co sprawiło, że nadworny kucharz nie miał już praktycznie dla kogo gotować. Najwyższa pora, by przystąpić do szturmu.

Słowo szturm nie jest tu jednak najlepszym określeniem, bo atak w niczym nie przypominał bezmyślnego bieganina w kółko pomiędzy okopami, a murami, strzelając na oślep i wydając nieartykułowane dźwięki.

**Komentarz [S9]:** Więcej bitew! Oni powinni walczyć o każdy kilometr, tylko zachodni front szedł bez przeszkód.

WIĘKSZE STRATY!

**Komentarz [S10]:** Tutaj przemodelować

**Komentarz [S11]:** Dodać opis szturm

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Niebiesko – biały proporzec powiewał radośnie wysoko nad moją głową. Cała nasza armia maszerowała równym krokiem w stronę Wawelu, dokąd wycofali się ostatni obrońcy. Było nas tak wielu, że otaczając siedzibę polskiego króla musieliśmy ustawić się w kilka rzędów. To był koniec. A ja byłem na jego czele.

Popołudniu, 22 października 1810 roku, pozostali obrońcy, służba królewska, dowódcy oraz Władysław V Zdobywca we własnej osobie przystąpili do szaleńczego ataku na namiot naszego dowództwa. Blisko 3000 karabinów braci Mauserów wycelowało w ten straceńczy pluton i czekało na mój znak. Podniosłem lunetę do oka i wycelowałem. Korona potoczyła się w dół zbocza przy akompaniamencie oszałamiającej salwy bawarskiej precyzji i wirtemberskiego temperamentu.

Koniec księgi trzeciej

## EPILOG

**Komentarz [K.S.12]:** Dopisać jeszcze kilka akapitów, objętościowo ok. 1 strony A4.

Bawarska flaga na dobre zadomowiła się na Wawelu. Teraz była to siedziba władz Ziem Pozyskanych, znajdujących się pod zwierzchnictwem króla Bawarii, oby żył wiecznie i zniósł podatki, Maksymiliana I, który powrócił na tron kilka dni po ostatecznej klęsce Wielkiego Królestwa Polskiego.

Podobnie jak język. Po zdobyciu stolicy Wielkiego Królestwa Polskiego i śmierci Władysława V Zdobywcy wydarzenia potoczyły się szybko. Wszystkie kraje zagarnięte przez Polaków odzyskały niepodległość. Anulowano również stosunki lenne.

Nie mogliśmy dopuścić, by w przyszłości odrodziło się Wielkie Królestwo Polskie, dlatego postanowiliśmy maksymalnie ograniczyć wpływ narodu na rozwój jego ziem – słowem: anektowaliśmy je.

Wielka Brytania w formie odszkodowania otrzymała Gdańsk oraz pełną swobodę handlową (kupcy mogą się od teraz swobodnie poruszać po terenie całego kraju oraz nie muszą płacić ceł), za to odrodzone Królestwo Bawarii stało się zarządcą pozostałych terenów, nazwanych teraz Kresami Wschodnimi.

Na tron Królestwa Bawarii powrócił mądry i waleczny władca, Jego Wysokość Maksymilian I Józef (oby żył wiecznie i zniósł podatki). Posadę Głównego Administratora Ziem Pozyskanych objął, za zasługi w wojnie, pewien niezrównany mag, genialny strateg i nietuzinkowy dyplomata. Ja.

Koniec końca, czyli *delictum consumatum*